Opłata pocztowa opłacona gotówką.

CENA Nr. 25 Gr.

POLSKA NIEPODLEGŁA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ROK II. WARSZAWA, 7 lutego 1937 r. Nr. 5

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ PRAWEM NAJWYŻSZYM!

DWIE KONCEPCJE

„Wielkim" wypadkiem politycznym były przemówienia szefów rządów francuskiego i niemieckiego, jakoteż mowa ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Edena. Przemówienia te raz jeszcze postawiły na porządku dziennym życia politycznego Europy sprawę *pokoju*.

Już od chwili zamknięcia okresu wojny, nieomal od chwili, gdy marszałek Foch przyjmował w wagonie swym przedstawicieli pobitych Niemiec, słowo „pokój" nie schodzi z ust ministrów spraw zagranicznych wszystkich państw świata. Liga Narodów, Protokuł Genewski, akcja Aristidesa Briand, pakt zachodni, układy z „małymi" państwami — oto etapy najcharakterystyczniejsze z akcji pokojowej francuskiej, — wyzyskiwanie każdego kroku przeciwnika dla interesów własnego kraju bez większych względów dla realizacji pokoju — to taktyka niemieckiej „Republiki Wejmarskiej", metoda zaskakiwania przeciwnika, zrzucanie z siebie zobowiązań, nałożonych przez Traktat Wersalski — to taktyka obecnego wodza Niemiec Hitlera — wreszcie organiczanie swych moralnych zobowiązań do minimum — to taktyka kierowników życia państwowego Anglji. A Stany Zjednoczone od czasu do czasu okraszają ten polityczny „bigos" jakąś ogólnikową deklaracją à la znany pakt Kolloga — i w ten sposób całość bardzo niejasnych, niezdecydowanych w formie i treści układów rozmów otrzymuje miano polityki pokojowej.

Jednak, gdy spokojnie, niejako naukowo, przejrzymy fakt po fakcie czyny przedstawicieli miarodajnych państw, wówczas łatwo skonstatujemy, że właściwie, o ile chodzi o technikę akcji pokojowej, walczą ze sobą dwie koncepcje: koncepcja uchodząca za francuską-angielską, polegająca na stworzeniu wielkiego układu ogólnego, „wzmacniającego układ Ligi Narodów i uzgodnionego z nim" — jak się mówi w sferach dyplomatycznych, — i koncepcja układów bilateralnych, reprezentowana obecnie przez Niemcy. Strona francusko-angielska nie jest bardzo uparta, o ile chodzi o Ligę Narodów: pomimo wszystko, jakoś mieszczą się w pojęciach angielskich i niektórych polityków francuskich i „Pakty Czterech", dalekie od powszechności, i układy sojusznicze już nie tylko „bilateralne", ale nieraz interpretowane wprost, jako przymierze zaczepno-odporne, jak porozumienie francusko-sowieckie.

Jak widzimy, jesteśmy dość daleko od koniecznej jasności polityki pokoju. Dla zwykłego obywatela państw Europy robi też ta polityka wrażenie wprost niesamowite, i często też jest interpretowana w myśl starej zasady „si vis pacem, para bellum" — jeżeli chcesz pokoju, szykuj miecz.

Historycznie najstarszą koncepcją pokojową jest pakt Ligi Narodów. Ojcem duchowym tego paktu jest prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson, który narzucił go swym kontrahentom. Jerzemu Clemenceau i Lloyd George'owi, nie bardzo zresztą do tej koncepcji entuzjastycznie usposobionym. Realista polityczny, stary „Tygrys" niewątpliwie pragnął pokoju dla Francji, a nawet dla Europy, ale widział możliwości jego realizacji albo w panowaniu Francji nad Renem, albo w ścisłym sojuszu Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych, w rządach tej „Wielkiej Trójki" nad światem przede wszystkim zaś w osłabieniu Niemiec przez skrupulatne wykonanie postanowień represyjnych Traktatu Wersalskiego.

Koncepcją Wilsona nie zachwycał się ani Lloyd George, ani żaden z następujących po nim premierów angielskich i ministrów spraw zagranicznych. „Ligowe intermezzo" Ramsay Mac Donalda w postaci Protokułu Genewskiego było niepopularnym w Anglji i skończyło się właściwie już w tym momencie, gdy delegaci narodów kładli w Genewie swój podpis pod Protokułem. Zmartwieniem decydującym dla Anglji była hegemonia możliwa Francji na kontynencie Europy. W myśl tych tradycyjnych obaw premierzy i ministrowie spraw zagranicznych Anglji prowadzili właściwie politykę proniemiecką, a do Ligi Narodów odnosili się z pewną łagodną wyrozumiałością w każdym razie i tam z całą świadomością tworząc „hierarchię narodów".

Francja, brutalnie zerwawszy z realizmem „Ojca Zwycięstwa" stworzyła „szkołę pokoju" Brianda. Ale przy całej pozornej szczerości tego byłego socjalisty tylko w naprawdę ciężkich momentach, przedstawiciele Francji deklarowali gotowość istotnego wzmocnienia Ligi Narodów przez danie jej realnej siły wojskowej dla dopełnienia jej postanowień. I deklarowali swe stanowisko tak, jakby wiedzieli, że poza deklarację nie wyjdą, bo w całym szeregu spraw wyraźnie osłabiali Ligę, obniżali jej powagę przez zakulisowe układy. przez wyjątkową łagodność w stosunku do „napastników". W codziennem życiu politycznym i dla Francji Liga Narodów stała się jednym więcej salonem dyplomatów.

Tymczasem outsider'zy — Japonia, Włochy stworzyli nową szkołę — szkołę metody faktów dokonanych: Mandżuria, Abissynia zrujnowały zupełnie prestige Ligi. I Niemcy w tych warunkach mogły wypełnić bez reszty czteroletni program kanclerza Hitlera, wycofując swój podpis z bardzo istotnych postanowień Traktatu Wersalskiego. Stosunkowo małą pociechą dla obrońców Ligi Narodów jest deklaracja niemiecka, stwierdzająca, że Niemcy nie dążą do zmian terytorialnych w Europie i że skończył się okres niespodzianek w polityce niemieckiej.

Niewątpliwie pakt Ligi Narodów, jako narzędzie pokoju, nie jest dziś narzędziem ostrym, mogącym być ze skutkiem użytym.

I dlatego nikt go używać nie chce. Wszyscy, nawet i Polska wymówili sobie niewygodne postanowienia Traktatu Wersalskiego i realistycznie traktują Genewę, jako teren załatwiania pomniejszych spraw, ewentualnie teren, na którym doskonale można uchylić zasłony, ukazując zdumionemu światu, co „wielcy" uczynili za kulisami.

Ale choć Genewskie metody należą dziś w polityce międzynarodowej do przeszłości, istnieje szereg przyczyn, które wytwarzają różnicę taktyki między Francją, a Rzeszą Niemiecką.

Francja za czasów Burbonów, gdy okrzepła jako mocarstwo, prowadziła stałą walkę z Rzeszą o pierwsze miejsce w Europie. Już nawet wyprawy włoskie Franciszka I Walezjusza i jego walka z Karolem V hiszpańskim nosiły ten charakter. Ale w walce z Habsburgami Francja zawsze szukała sojusznika na wschodzie: była tym sojusznikiem przez czas pewien Turcja, później Szwecja, Polska, Prusy, wreszcie Rosja. W tej walce, którą czarem nazywa się „walką o Ren" wytworzyła się szkoła polityczno-dyplomatyczna francuska, wytworzyła się tradycja, nakazująca łączyć bezpieczeństwo nad Renem z sojuszami na wschodzie. Szkoła z francuskiego punktu widzenia słuszna: gdy tylko zabrakło dostatecznie silnego sojusznika na wschodzie, Francja ponosiła klęskę. Dzięki temu dziś socjalistyczny premier francuski. Leon Blum, jest tak samo uczniem politycznym kardynała Richelieu, Ludwika XIV, jak był nim Delcassé czy Jerzy Clemenceau.

Inaczej układa się tradycja polityczna niemiecka. Habsburgowie w walkach swych z Francją zawsze występowali sami, zabezpieczając sobie jedynie przychylną neutralność państw wschodu Europy. Ich dyplomacja raczej krzyżowała akcję francuską, niż przeciwstawstawiała jej koncepcje własnych koalicji. Następcy Habsburgów w Rzeszy, Hohenzollernowie, a raczej twórca polityki Drugiej Rzeszy „Żelazny Kanclerz" Otto von Bismark, utrzymał tę linję polityczną Habsburgów: dla niego układ „bilateralny" z Rosją był tylko zagwarantowaniem sobie spokoju na wschodzie, pokrzyżowaniem planów francuskich.

W tych warunkach i tradycjach historycznych obu narodów, od których wzajemnego stosunku zależy pokój w Europie, jasnem jest, że walczyć ze sobą muszą dwie koncepcje pokoju, dwie metody układania życia w Europie: francuska — ogólniejsza, i niemiecka — „bilateralna". Tkwią one w psyche obu narodów, i choć może dziś niema we Francji polityka, który wzorem Ludwika XIV chciałby być arbitrem Europy, to jednak metoda pracy polityków francuskich pozostanie bez zmiany.

A nasza metoda? Czy możemy doszukać się jej w naszych tradycjach politycznych?

Najaktywniejszym okresem politycznym Polski przedrozbiorowej był okres Jagiellonów. Unia z Litwą otworzyła szerokie możliwości przed Polską: po zwycięstwie grunwaldzkiem i zatamowaniu rozlewu fali germańskiej na wschodzie Europy dynastia Jagiellonów za wolą i przy pomocy kierowniczych sfer społeczeństwa stała się nadzieją Europy Środkowej. Próby osadzenia Jagiellonów w Pradze Czeskiej i Peszcie, wyprawa warneńska, krótkotrwałe, zakończone bitwą pod Mohaczem, panowanie dynastii Jagiellońskiej w Czechach i na Węgrzech były jakby wstępem do wielkiej akcji wyzwolenia Słowian bałkańskich z niewoli tureckiej, o czem marzył w swych wielkich planach nowej krucjaty Stefan Batory. Wydawało się, że Polska stanie się ośrodkiem Europy nowej — wiślano-dunajskiej...

Krótki okres polskiego Złotego Wieku politycznego zamknięty został przez politykę Zygmunta III i jego następców. Weszliśmy, jako sojusznicy bądź Habsburgów, bądź Burbonów, do walki Francji z Cesarstwem Niemieckim. I właśnie w momencie wejścia w orbitę sporów między obu tymi mocarstwami skończyła się nasza samodzielna rola polityczna, a z chwilą, gdy Rosja Piotra Wielkiego okazała się cenniejszym sojusznikiem, niż my, skończył się i byt Państwa Polskiego.

Historja może nie powtarza się w szczegółach, ale w swych nawrotach daje niejednokrotnie możność obserwacji podobnych sytuacji. W obecnej chwili niema już walki Burbonów z Habsburgami, do przeszłości narazie należy nawet walka Króla Pruskiego i Cesarza Niemiec z republikańską Francją. Ale walczą ze sobą dwie koncepcje życia Europy — koncepcja francuska i koncepcja niemiecka. Walka ta jest niezależna od ustrojów państw — jest częścią tradycji Francji i Niemiec. W walce tej siłą rzeczy bierzemy udział, bo jest to walka o przyszłość Europy.

Ale w naszej węższej ojczyźnie, w Europie Środkowo-Wschodniej musimy stworzyć swą własną koncepcję pokoju, swą własną koncepcję współżycia ludów.

I koncepcję tę możemy znaleźć w Złotym Okresie Polski porozbiorowej...

Fakty i plotki

*

W dniu 10 lutego wypada rocznica przyłączenia Pomorza do Polski. Równocześnie jest to Święto Marynarki Wojennej. Liga Morska i Kolonjalna w tym roku ze świętem tym połączyła obchody ku czci gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, organizując zbiórkę na pomnik na Oksywiu, na wydanie monografji i t. d.

Mogiła na Oksywiu już jest symbolem, już jest częścią Panteonu polskiego. Rzeczą jest społeczeństwa, by Panteon ten był godzien Narodu. Nie wszystkich można pochować na Wawelu. Ale wszyscy ci, którzy są chlubą Polski, winni żyć w pamięci potomnych.

I dlatego mniemamy, że zbiórka L. M. i K. winna dać poważne rezultaty.

*

Sejm nasz i Senat radzą. W pewnym momencie nawet rozeszła się wieść o konstytucyjnym zatargu między parlamentem, ściśle Senatem, a rządem. Pono plan inwestycyjny winien być zgłoszony razem z budżetem, pono wobec tego pewne grono senatorów chciało ot, tak — z dziś na jutro — cały ten plan odrzucić.

I rzecz ciekawa — plotka musiała być nie bez podstaw, jeżeli z pewną uciechą obserwujący „rsczkowanie" naszego parlamentu „Robotnik" uznał za stosowne przypomnieć, że „nie robi się rozgrywek z rządem na tle sprawy obrony państwa".

Istotnie — groteska; działacze b. Bloku Współpracy z Rządem, teoretycy i praktycy państwowej ideologji — i taka reprymenda ze strony pisma, posądzonego doniedawna o sympatje dla sojuszu z komunistami...

Ale amicus Plato... Nic to, że wiele nas może łączyć w przeszłości z wielu posłami i senatorami obecnego parlamentu. Nic to, że wielu z nich ma olbrzymie zasługi dla państwa w przeszłości. Istotą rzeczy jest fakt, że gierki i rozgrywki parlamentarne, nie mając wielkiej dekoracji walk w opinji społecznej, stają się coraz bardziej... nieznośne.

Nie czas i nie sposób walki z rządem...

Z SEJMU i SENATU

Gdy zwykły obywatel przyjdzie do Sejmu i zetknie się z starymi wygami dziennikarzami, którzy tkwią tam od czasów Sejmu Ustawodawczego, zawsze na pytanie: „No, i jak wam tu się siedzi w tym Sejmie?" otrzyma odpowiedź: „Ah, panie, co to za Sejm!"

Skąd ta antypatja do obecnego Sejmu, już nie na łamach pism głoszona, ale wypowiadana w prywatnych rozmowach?

Dziennikarz świetnie wyczuwa nastroje publiczności: wie, że najlepsze przedstawienie nie wywoła entuzjazmu, o ile wśród aktorów niema, „pierwszej roli" — jakiegoś „amanta", „czarnego charakteru"; symptycznej amantki...

Ta teatralna reguła odnosi się do wszelkich wystąpień publicznych: nawet na wiecu muszą być obok statystów „pierwsze role".

Czy w obecnym Sejmie tak jest?

Elita parlamentarna, wybitni przedstawiciele kunsztu słowa, mistrze intrygi, strategicy ruchów mas wychowują się tylko w ściśle określonych warunkach: szkołą dla nich jest organizacja polityczna, uniwersytetem — parlament. Ale i w tym uniwersytecie muszą oni mieć odpowiednią atmosferę: bliskich przyjaciół, którzy ich podtrzymają, świadomość wielkiego znaczenia słów wypowiadanych, atmosferę walki...

W Sejmie obecnym brak jest tego wszystkiego...

Jak więc tutaj wytwarza się elita parlamentarna? A może republikańska równość panuje między reprezentantami ludu?

Są i tu „wodzowie". Tak, jak w każdym parlamencie, nie wszystkich jednakowo słucha kraj.

Ale metody pracy są inne: brak jest klubów a raczej są dopiero w zaczątku, brak jest wodzów, którzyby klubami kierowali. Właściwie, kierownikami wielkich klubów są marszałkowie Sejmu i Senatu...

Któż więc jest wodzem w tym parlamencie?

Parę zaledwie nazwisk głośniejszych: Miedziński, gen. Żeligowski, Wojciechowski, sen. Kozłowski, Ignacy Nowak, sen. Petrażycki, z pomniejszych zaś głośna dziś grupa Budzyński, Dudziński, — pozatem posłanka Prystorowa. Z mniejszości narodowych Mincberg, Mudryj, Celewicz, — Niemcy zaś wolą milczeć.

Przyjrzyjmy się kolejno tym wodzom i oficerom dzisiejszego Sejmu i Senatu.

Miedziński... Uznany duży talent. Inteligencja nieprzeciętna, dobry mówca, szkoła parlamentarna poprzednich Sejmów. Czy jednak „wódz"? Czy jego przemówienia wywołują w kraju w prasie efekt taki, jak wywołać winny?

I tu odpowiedź jasna: ten człowiek o nieprzeciętnych zdolnościach parlamentarnych tonie w szarzyźnie. Gdy w poprzednich sejmach przemawiał, wiadomo było, że przemówienie takie ma znaczenie polityczne, a dziś, nim oceni się je pod tym względem, trzeba szukać na prawo i lewo informacji, jak jest widziany w rządzie, czy pił dziś kawę z Leonem Kozłowskim, czy spotyka się z Jędrzejewiczem... A zwykły obywatel, nie mogąc się wśród lasu plotek zorjentować, przechodzi do porządku dziennego nad przemówieniem, kładąc je na jednej szali z jakiemiś deklaracyjnymi skargami posła z Pikutkowa.

Gen. Żeligowski... Postać wyjątkowo popularna w Polsce. Wilno, wojna 1920 r., a przytym życie pracowite nawet po uzyskaniu emerytury. Obrońca wsi. Agrarjusz stuprocentowy. I jednak nawet jego wypowiedzenia, które powinny z jednej strony wzbudzać entuzjazm chłopów, z drugiej zaś wywoływać dyskusję, przechodzą prawie bez wrażenia.

Wojciechowski... Zwolennik uprzemysłowienia kraju. Rozsądny fachowiec, ostrożny, znający doskonale południowowschodnie Kresy. Cenny nabytek dla każdego klubu, mogący nawet wodzów ustrzedz od błędów. I znów wygląda tak, jakby, mówił w próżnię.

Senator Leon Kozłowski. Ten, który staje się niejako symbolem opozycji. Ale jakiej — zapyta każdy. Echo odpowie: „Pułkownicy". Ale kto jest „pułkownikiem"? Miedziński — chyba nie, bo figlów rządowi nie robi. Jędrzejewicze? Matuszewski? Ależ jakoś nie można skonstatować, by tez gospodarczych Matuszewskiego zbyt gorąco broniono...

I znów jakaś tajemnica, której poznać zwykły obywatel nie może...

I wreszcie Ajaksy Sejmu obecnego: Budzyński, Dudziński.

Gdy czyta się przemówienia Budzyńskiego, ma się wrażenie, że mówi... któryś z naszych młodych literatów. W formie, w tonie przemówień niema decyzji, niema siły. Są to *rozmyślania*, nie *czyny*. A przecież poseł nie jest w Sejmie na to, by robił rachunek sumienia...

Nawet w wypowiedzeniach się drugiego kawalerzysty, posła Juliusza Dudzińskiego, częściej dają się zauważyć jakieś ruchy na tyły nieprzyjaciela, nie dobrze obmyślany plan akcji politycznej.

Brak wodzów, subalterni robią strategów...

W rezultacie jest to, co jest: Sejm i Senat sobie, kraj sobie. Z obowiązku prasa podaje debaty budżetowe, ale publiczność, znudzona jałowym tematem „dekompozycji", nie orientuje się, kto z kim i dlaczego, przechodzi nad tym wszystkim do porządku dziennego.

A może Sejm jest dla rządu? Może istotnie rząd może wyciągnąć wiele wniosków z dyskusji parlamentu?

W kadencji obecnej widzimy nowe zjawisko: „figielki" naszych posłów i senatorów. Bo „figielkami" są dyskusje na temat gospodarki Lasów Państwowych, „figielkami" herbatki, po których „Robotnik" uczy p. p. senatorów, że na tle ustawy o planie finansowym zużycia pożyczki francuskiej nie przeprowadza się rozgrywki z rządem.

A debata budżetowa? Może referenci, może dyskusja dała materiał do poprawy gospodarki państwowej? Powiedzmy sobie po cichu, że znaczną część referatów nie pisali posłowie — referenci. Powiedzmy sobie także, że dyskusja była raczej wypowiadaniem deklaracji poselskich.

A więc?

Więc chyba jasne: Sejm, Senat są „młode", a w dotychczasowych warunkach zachowają tą wątpliwej wartości „młodość" jeszcze bardzo długo. A publiczność nadal będzie szukać zaspokojenia namiętności politycznych na wyższych zakładach naukowych, w Przytykach i t. d. I orientować się będzie wedle *czynów* rządu.

Może o to właśnie twórcom ordynacji wyborczej chodziło...

Ale chyba nie. Bo coraz częściej zjawiają się projekty reform. Sejm korporacyjny, Sejm pięcioprzymiotnikowy... Oto granice, w których obracają się chęci reformy.

Istotą rzeczy jest parlament, któryby był dobrą kontrolą życia państwowego, a zarazem stanowił czynnik wychowawczy dla narodu.

Musi on zużywać energię polityczną, by nie szła ona na marne. Musi być szkołą myśli politycznej.

Nie samowładca, jak był nim Sejm Ustawodawczy, ale parlament, współpracujący z rządem nawet w swych opozycyjnych częściach.

Bo tylko na „opozycję Jego Królewskiej Mości" stać Polskę...

B. poseł.

FAKTY I PLOTKI

Jednym z najpoważniejszych wypadków ostatniego tygodnia był niewątpliwie Kongres P. P. S. Był niewątpliwie czynnikiem uspokojenia kraju: nieprzebierająca w niczem propaganda rozmaitych „ABC" i innych takich pism, zachowujących się tak, jakby już jutro albo redaktorzy tych pism mieli zostać ministrami, albo też w pałacu Prezydjum Rady Ministrów miał zasiąść jakiś delegat Stalina, otrzymało ostrą, a faktyczną odpowiedź na szerzone z całą gorliwością plotki i ploteczki. Niema „folksfrontu", najostrzej występująca partja opozycyjna deklaruje swą gotowość poparcia programu zbrojeń, wypowiada zdecydowaną walkę komunizmowi.

To dla wielu elementów, grasujących beskarnie po życiu polskim, hypnotyzujących opinję urojonymi niebezpieczeństwami sytuacji wewnętrznej Państwa, może niespodzianka, ale dla opinji publicznej niewątpliwie czynnik uspokojenia.

*

Zadziwiające, jak we współczesnej Polsce modnym stał się... socjalizm. Nie socjalizm konstruktywny, budujący przyszłość warstw pracujących, ale socjalizm rewolucji, socjalizm, niszczący prawo własności, głoszący społeczną korzyść wywłaszczenia.

Socjalistycznym w tym znaczeniu jest Stronnictwo Narodowe, głoszące konieczność wywłaszczenia Żydów, socjalistycznym jest O. N. R. czy „A B. C", który chce wywłaszczać już nie tylko Żydów, ale i cudzoziemskich kapitalistów, socjalistyczną jest „Naprawa", która nie tylko chce wywłaszczać, ale nawet i budować jakiś dziwny anarcho-syndykalistyczny nowy ustrój.

Może najmniej socjalistyczną w tym pojęciu jest Polska Partja *Socjalistyczna*...

Dlaczego?

Bo broni Żydów — odpowie „A. B. C.", ktoś inny szepnie coś o masonach,

A tymczasem prawda jest zupełnie gdzieindziej.

Obok „młodych" urzędników i fachowców „młodzi" publicyści i ideowcy wystawiają smutne świadectwo naszym szkołom średnim i wyższym. Śmiemy twierdzić, że ci panowie od biurek redakcyjcyjnych i „społecznych" nie znają Polski, nie zdają sobie sprawy, że nie kwestja *aktów prawnych*, ale *procesu ekonomicznego* decyduje o przyszłości Polski w dziedzinie gospodarczej. Młody agitator, wykształcony na broszurach, zawsze wierzył we wszechmoc aktu prawnego, polityk społeczny, znający nie tylko zasady ekonomji, ale i ciągłość procesów historycznych, wiedział, że w programie socjalistycznym wywłaszczenie musi być poprzedzone przez „dokonanie się" burżuazji.

Tę tak prostą prawdę socjalistyczną należy przenieść na *wszystkie* tereny gospodarcze.

I może wówczas, gdy dzisiejsi „socjaliści" rozmaitego nabożeństwa poznają istotę gospodarczego życia polskiego, inaczej patrzeć będą na swoje wywłaszczeniowe programy.

A może wówczas zostaną konserwatystami.

I to możliwe, bo wówczas, gdy nietwórczy umysł spotyka się z trudnościami, chętnie spoczywa na laurach...

*

Mówiło się doniedawna o „austryjackim gadaniu". Zapewne niedługo przysłowiowymi staną się „hiszpańskie awantury", Trwa i trwa ten krwawy karnawał, i końca nie widać. Bolszewicy, Niemcy, Włosi, Anglicy, Francuzi, no, i Polacy też, odbywają jakąś dziwną sarabandę śmierci tam, gdzie od wieków było dumnie, a głucho i ciemno. Wyżynają się obie strony gorliwie, jakby chcąc Europie przeludnionej dać nowy, tak bliski, teren kolonizacyjny.

A któż ma rację w tym krwawym sporze?

Niewątpliwie będzie ją miał zwycięsca. I obojętne, czy będzie nim gen. Franco, czy Largo Caballero, umiarkowani republikanie, rojaliści, czy też socjaliści, komuniści czy anarchiści. Opinja Europy postara się o uzasadnienie tej racji, rządy Europy—o polityczne wyzyskanie zwycięscy, t.zw. sfery gospodarcze — o usadowienie się mocne w wyniszczonej Hiszpanji.

Już obecnie krążą kruki nad polem walki. A po „uspokojeniu" i „reformach" Anglicy, Niemcy, Francuzi, Rosjanie, Włosi zaczną bezkrwawą walkę o gospodarcze rządy w Hiszpanji.

*

Błogosławieni cierpliwi... Społeczeństwo całe, a w szczególności ci wszyscy, którzy uważają się za uczniów Piłsudskiego, czekają, jaką formę organizacyjną nowemu ruchowi nada Komendant Zw. Legjonistów, pułk, A. Koc. Coraz jakieś wiadomości informują nas, że już, już, — a stanie się... Tymczasem milczenie trwa nadal. Nie sprzyja to wszystko utrzymywaniu w gotowości tych wszystkich, którzy do pracy chętnie stanęliby, nie sprzyja wypaleniu się do końca całej masy niechęci, niezadowoleń, ba, nawet i zazdrości, jakie nagromadziły się wśród „dołów".

A może istotnie chodzi tylko o system rządzenia, może odpowiednik w społeczeństwie jest zbyteczny?

Błogosławieni cierpliwi, albowiem oni się doczekają... rezultatów pracy programowej.

SZTORM

Cichy wieczór. Słońce niedawno zaszło. Przy zachodzie otoczyło się przepięknym kręgiem jaskrawego halo, malując zarazem na czerwono chmury, asystujące, jak dworzanie, przy grand coucher swego hospodyna. Niebo pociemniało. Wypłynął wąski sierp księżyca. Gwiazdy, nie tłumione przez blask srebrnej tarczy, migotały ostrym, dziwnym blaskiem. I na morzu znać było, że coś w przyrodzie dzieje się, coś nowego, coś tajemniczego. Fala sztilowa przewracała się z boku na bok, ale straciła swą zwykłą ruchliwość: w delikatnym świetle księżyca lśniła jak rtęć, ciężka, oleista, a jednak nie martwa. Powietrze raptownie nabrało dziwnej przejrzystości; znikła gdzieś lekka mgiełka gorącego dnia, horyzont wystąpił ostry, jak brzytwa.

Minęło jeszcze kilkanaście minut. Ciemność zapadła zupełna. Biała piana, odrzucana dziobem statku, zaczęła świecić. Można się z tym oswoić i, o ile z początku godzinami patrzy się na przepiękne zjawisko fosforescencji, to później zrzadka tylko wzrok pada na wieczorne fale, błyszczące w ciemności zmierzchu zielonawym światłem. Ale tego wieczoru fosforyczny błysk fali miał swój specjalny nastrój i zdawało się, że olbrzymią bestię — Morze — ktoś drażni następującymi po sobie w szybkim tempie wyładowaniami maszyny elektrycznej. Bestia nie była jeszcze podrażniona dostatecznie, by wybuchnąć krzykiem wściekłości i bólu, ale reagowała krótkimi, zmiennymi w swym natężeniu błyskami wzmocnionymi fosforescencji. Światło czarowało, ale zarazem budziło niepokój: do niedawna łagodne, leniwe, rozkoszne, jak zaspany kociak, Morze budziło się, jakby wyciągało łapy, pokazując mocne, twarde pazury, błyskając z pod przymkniętych powiek zielonymi promieniami złośliwych oczu.

Po paru godzinach nad samym ranem znikł czar nocy przedsztormowej. O szarym brzasku obudził się wiatr. Lekki powiew, cisza, znów lękki powiew, znów cisza... I tylko tempo uderzeń wiatru staje się coraz szybsze. Po morzu idzie jakaś inna, nowa, nieznana, fala. Przednia straż sztormu: gdzieś tam, daleko, w Oceanie hula już wiatr sztormowy, podrywa całe masy wody ku niebu, załamuje ich grzbiety, bieląc je pianą grzyw, a o dziesiątki, a nawet setki mil dalej już dochodzi fala. Cicha jeszcze pozornie: nie szumi, nie ryczy, ale już ze złowróżbnym pluskiem uderza o burty statku.

Wiatr nie bije, nie uspokaja się co chwila, i wieje teraz stale. Narazie daje się odczuć tylko zwiększenie szybkości statku. Ale w atmosferze jest coś, co oddziałuje na psyche człowieka, jak narkotyk: podnieca, ale zarazem pozwala czaić się w głębi duszy Lękowi...

Idzie sztorm...

Idzie szał przyrody...

Idzie bunt przeciwko woli człowieka, który bez szacunku dla potęg elementarnych pozwala sobie wkraczać w światy poprzez odmęty...

Idzie sztorm...

Idzie Wiatr...

On jest tym panem morza, który obejmuje berło nad przestrzenią. On rozbija się od krańca do krańca horyzontu, on chwyta pełną, twardą garścią morze, zmusza je do ruchu, wyrzuca je w olbrzymich kaskadach-falach ku niebu, rozpyla szczyty potężnych grzywaczy. On wyje przeraźliwie i natrząsa się z Człowieka-Zdobywcy, który musi wyrzec się myśli o swojej wielkości i pokornie czekać, gdy wróg jego wysili się i padnie z wyczerpania...

Idzie sztorm...

Cichutko, żałośnie zanuciły wanty...

Kwili dzieło rąk człowieka: dziecię przyrody, brutalnie wyrwane z trzewi ziemi, torturowane ogniem, ciągnione maszynami, skręcone, dziś walczyć musi ze swą Matką-Przyrodą, z jej panowaniem, z jej armią, idącą na bój z Człowiekiem-Zdobywcą. W tym kwileniu jest ból i rozpacz, jest gorzkie wspomnienie czasów, gdy spoczywał metal, ukryty w rudzie, głęboko, głęboko pod skałami, nie wiedząc, co czyni wróg-poskromiciel — Człowiek.

A Niebo blednie ze wzruszenia. Obłoki, które jeszcze wczoraj dostojnie kupiły się koło słońca, szaleją: przewalają się po stalowym sklepieniu, zmieniają formy, rozdzierane przez rozwścieklonego tyrana. Słońce-przyjaciel i wróg Człowieka-Zdobywcy, to wyjrzy z poza woalu poszarpanego chmur, uśmiechnie się do trwającego w walce, to zasłoni swoje promienne oblicze, jakby odwracając się od widoku śmierci, to błyśnie złośliwym uśmiechem solidarności z Tytanem-Wiatrem.

Przyszedł wiatr...

Suchy szelest poruszanego gwałtownie powietrza...

Kwilenie want zmieniło się w wysoki ton płaczu i jęku. Rozpaczają wanty, zanoszą się jękiem... Już nie żal za straconą wolnością tam, w głębinach ziemskich, ale strach, obłędny strach, przebija przez jęk stalowych lin. Przypomniały się żelazu dawne, dawne, straszne chwile, gdy skurczyła się skała, gdy drgać zaczęła na łonie Matki-Ziemi... Straszny ucisk, zmuszający do sfałdowania poziomych dotąd warstw, trzask głuchy miażdżonych skał, a tam, na powierzchni ziemi okropne wycie wiatru...

Kartki z historji Bałtyckiego Pomorza

Już od czasu ostatnich Piastów Polacy zaczęli nazywać Pomorzem jedynie dawne Pomorze Nadwiślańskie. Do historji przeszły walki Mieszka I, Bolesława Chrobrego, Bolesława Krzywoustego. Jedynym nieomal przypomnieniem o tych czasach, gdy, zdawało się, państwo Polskie, będzie graniczyć z Germanją wzdłuż biegu Łaby, dzisiejszej Elby, były mętne wspomnienia o słupach Bolesławowych i jaskrawy fakt istnienia księstwa Szczecińskiego, którego zniemczeni panujący brali udział we wszystkich nieomal walkach krzyżackich z Polską.

A jednak Pomorze Słowiańskie, właściwie Pomorze Lechickie, nawet w średniowieczu sięgało aż prawie po dzisiejszy Hamburg, a wolne ludy, tam żyjące, w pewnych okresach umiały stać się nawet potęgą morską i shołdować sobie wikingowską Jutlandję.

Historja Pomorza znaną nam jest dość dobrze od czasów, gdy Piastowie Wielkopolscy podjęli walkę o byt plemion lechickich. Wiemy prawie dokładnie, jak ginęły potężne plemiona Obotrytów, Lutyków, jak zginęła dla Słowiańszczyzny Rugja. Ale nawet ta historja walk polsko-germańskich jest silnie zaciemniona przez historyków niemieckich Z pewną wstydliwą dyskrecją mówią oni o pomocy, jakiej przeciw chrześcijańskim katolickim Piastom udzielali im pogańscy Lutycy, chętnie przemilczają ciekawe przyczyny powstawania rozmaitych Klein- i Grosstrelitz, istnienia w prawach miejskich specjalnych ustępów, odnoszących się do „wendyjskiej" ludności, nienawiści, jaka cechowała równie dobrze apostoła Niemiec św. Bonifacego, jak i twórcę Reformacji, Marcina Lutra, w stosunku do owych „Wendów".

Nie jest naszym zamiarem wprowadzać czytelnika w las gęsty walk, podstępów, prześladowań, jakie spowodowały wynarodowienie się licznych plemion słowiańskich, żyjących przed wiekami od Łaby, a w niektórych okolicach nawet od Renu do Wisły. Ckcemy tylko zwrócić uwagę na tendencyjność tez prawie wszystkich historyków niemieckich, którzy dziś już umieli wpoić całemu narodowi niemieckiemu przekonanie, iż kraj od Renu aż do Wisły jest „urdeutsche" — od wieków niemiecką ziemią.

Czy tak jest istotnie?

— — — — — — — — — —

Dla świata starożytnych, których historja zamyka się nieomal kompletnie w historji ludów, zamieszkujących brzegi Morza Śródziemnego, wszystko to, co działo się za Renem, za potężnym łańcuchem górskim Alp i Karpat było w całym znaczeniu tego wyrazu „terra incognita"— ziemią nieznaną. Morski charakter kultury kartagińskiej, greckiej, nawet rzymskiej nie pozwalał na przejście na północ: przeszkadzały temu i nisko stojąca technika żeglarska, i trudność podróży po ziemiach bez dróg, lesistych i bagnistych i wreszcie ubogi w stosunku do bogactw Azji, Egiptu, a tymbardziej Indji, charakter krain północnych. Jedynym poszukiwanym na północy towarem był bursztyn—elektron Greków, ale ten ze stosunkową łatwością otrzymywali starożytni w drodze handlu wymiennego od plemion germańskich i słowiańskich, sąsiadujących ze światem historycznym. Tak samo i niewolników o jasnych włosach i niebieskich oczach łatwo zdobywano w walkach granicznych.

Wobec tego historja wypraw ludów śródziemnomorskich na północ jest dość uboga, a wiadomości, jakie nieliczni podróżnicy zdobywali, są bardzo ogólnikowe, raczej mówiące o typie fizycznym mieszkańców północy, niż o ich języku czy obyczajach.

Oto wrażenia greckiego marynarza Pytheasa z dzisiejszej Marsylji, o krainach, które leżą na północny wschód od wysp angielskich: „niema tam ani powietrza, ani morza, ale dziwna mikstura, gdzie są zmieszane woda i powietrze. W nocy latem słońce schodzi z horyzontu tylko na trzy lub cztery godziny. Nie mając bydła i zboża, mieszkańcy żyją z myśliwstwa i spożywają „mil" (prawdopodobnie owies), który młócą pod dachem ze względu na ciągły deszcz. Z miodu pszczół przygotowywują napój narodowy".

Tyle o krainach północnego Atlantyku wiedziano około 300 lat przed N Ch. Jak widzimy z określenia kierunku, Pytheas miał wiadomości raczej o Skandynawji, a przestraszył się mgły, i dziś na morzach północnych niebezpiecznej dla żeglarstwa.

Wybrzeża Morza Północnego były rozpoznane dopiero przez flotę cesarza Augusta. Chciał on przesunąć granicę Imperium z Renu na Elbę. W 12 roku przed Narodzeniem Chrystusa wódz rzymski Drusus wyszedł z Zuydersee (Holandja) doszedł do Borkum i rozpoczął akcję wojenną wzdłuż wybrzeży rzeki Ems. W 5 roku przed N. Chr. flotylla rzymska, wspomagając armię Tiberiusza, przeszła dolnym biegiem Elby, a następnie przebyła Kategat, doszła do Skagerraku, okrążając prawie Jutlandję i stając u wrót Morza Bałtyckiego.

Jak wyglądało badanie krain północnych drogą lądową?

Najbardziej znane dla świata starożytnego były brzegi Morza Czarnego. Liczne kolonje greckie, jakie tam istniały, były przednią strażą kultury śródziemnomorskiej. Handel grecki interesował się zbożem i złotem, które Grekom czarnomorskim dostarczali mieszkańcy dolin nadbużańskich i naddnieprzańskich. Wedle danych, jakie podaje historyk grecki Herodot, Grecy dochodzili aż do Kijowa Natomiast Rzymianie wyzyskiwali starą drogę handlową, prowadzącą przez Morawską Bramę, Śląsk, Kalisz. Za panowania cezara Nerona jeden z rycerzy rzymskich, idąc tą drogą po przejściu 600 mil rzymskich, osiągnął Bałtyk, i wrócił z tej wyprawy, przywożąc ogromną ilość bursztynu. Pozatem za pośrednictwem Germanów prowadzono ożywiony handel wzdłuż brzegów Bałtyku.

Przedewszystkiem najpotężniejsze państwo świata starożytnego, Imperium Rzymskie, miało tylko bardzo pośredni wpływ na ludy, zamieszkujące na wschód od Renu, dalej—wiadomości o tych ludach były bardzo niepewne, niejasne, sporne, nawet w większym jeszcze stopniu, niż wiadomości o morzach, rzekach i górach na tym olbrzymim terenie.

Potwierdzenie tego stanu rzeczy znajdujemy u najwybitniejszego gieografa starożytności, Tacyta. Ten uczony rzymski cały teren na wschód od Renu nazywa Germanją. Za południową granicę Germanji uważa Dunaj i góry, za północną ocean, przyczem Bałtyk, które zowie morzem Swewskiem—morze Swewów—uważa za zatokę oceanu. Na wschodzie nie podaje ścisłej granicy, mówiąc tylko o ludach Fennach, Pensynach i Wenedach. Za kryterjum germańskości ludów uważa żywot osiadły plemion.

Jak widzimy, określenia ogólnikowe, przypominające zupełnie te informacje, jakie posiadaliśmy o Afryce w początkach XIX wieku, gdy zupełnie nie rozróżnialiśmy plemion murzyńskich.

W średniowieczu pozostawiono nomenklaturę rzymską: król Alfred (874—904) nazywa Germanją kraj od Renu aż do Donu, od Dunaju aż do oceanu Północnego, ale podkreśla, że na tym terenie mieszka wiele narodów. Za Karola Wielkiego Einhard, który opisał żywot Karola, stwierdza, że „w Germanji żyje pewne plemię słowiańskie, które we własnym języku nazywa się Welatabi, we frankijskim natomiast Wiltzi". Historyk Adam Brameńczyk mówi o Germanji już dość ściśle: „Sklawinja, największa prowincja Germanji, jest zamieszkała przez Winulów, a Ruś jest ostatnią i największą prowincją Winulów".

Jak widzimy, im bliżej terenów słowiańskich znajduje się pisarz średniowieczny, tym lepiej orjentuje się w sytuacji Słowian w kraju, zwanym przez Rzymian Germanią.

Gdy przejdziemy do ludów pomorskich, mieszkających na wschód od linii, łączącej źródła Renu i ujście Elby, znajdziemy u Tacyta drobne ludy, bitne, stanowiące jeden naród, zwany Swewami. Wymienia Tacyt Semnonów, Raudignów, Avionów, Anglów, Eudozów, Noitonów. Ludy te czczą boginię Nerthus, posiadają święty gaj. Walczą stale z osiadłymi wśród nich Longobardami, różniącymi się od nich obyczajami. Na północ od Karpat umieszcza Tacyt Legiów, podzielonych na szereg plemion. Na północ od Legiów siedzą Gotoni, nad samem morzem Rugjowie i Lemowie. Za morzem znajdujemy Sujonów, których statki panują na Bałtyku.

A teraz zestawmy z informacjami Tacyta wiadomości autorów średniowiecznych.

Gocki historyk Jordanes w swem dziele o Gotach mówi, że od źródeł Dunaju do Dniestru mieszkają Sclavini, których siedziby ciągną się do morza na północy. Na wschód od Sclavinów zamieszkują Antes, którzy wraz ze Sclavinami noszą nazwę Winidów.

Adam Bremeńczyk, żyjący 700 lat po Jordanesie, a 1200 lat po Tacycie, stwierdza, że na wschód od Elby rozciąga się Sclavania, którą zamieszkuje lud, zowiący się Winulami, a za ziemią Polan rozciąga się Ruzzia, ostatnia i największa prowincja Winulów. Nad morzem w sąsiedztwie Polan i Ruzzów mieszkają Prutzici.

Jak widzimy, nazwy ludów, zamieszkujących teren między Elbą i Wisłą, a nawet Dnieprem, coraz bardziej zbliżają się do nazw, doskonale nam znanych.

Przejdźmy teraz do obyczajów.

Zarówno Tacyt, jak i historycy średniowiecza podają dość ściśle religijne obrzędy plemion, osiadłych między Elbą, a Wisłą. Tacyt pisze: „Jest na wyspie Oceanu czysty, święty las. W lesie tym czci doznaje bogini Nerthus, to jest Matka Ziemia. Jedynie kapłanowi wolno dotykać jej przybytku. Bogini ta od czasu do czasu objeżdża czczące ją ludy. Wtedy wszędzie nastaje pokój. Gdy wróci, kapłan, który jej towarzyszył, obmywa ją w ukrytym jeziozie. Służą przytem niewolnicy, których natychmiast toż jezioro pochłania".

Thietmar, piszarz średniowieczny, w podobny sposób opisuje gród Słowian, otoczony ogromnym, świętym lasem. Taksamo opowiada o mieście Rothre Adam Bremeńczyk. A z historji wyprawy na Polskę w 1017 roku wiemy o skargach kapłanów pogańskich, stojących na czele sojuszników słowiańskich cesarza niemieckiego, o zniewagę bogini przez wyrostków niemieckich, którzy przebili kamieniem chorągiew bogini. O ofiarach ludzkich mówi i Thietmar, i Adam Bremeńczyk, i św. Bruno, apostoł Pomorzan nadodrzańsklch.

Jasnym jest choćby na podstawie tych danych, że tereny na wschód od Elby zamieszkane były przez Słowian

A dziś? Dziś bronimy z dużym wysiłkiem Pomorza Nadwiślańskiego...

Z. D.

Obrona Państwa jest obowiązkiem każdego, więc płać składki na F. O. N.

Jęczą i łkają wanty, zanoszą się od krzyku i płaczu...

Morze, tak jeszcze wczoraj spokojne, przewracające się z boku na bok, z fali na falę, z uśmiechem odbijające twarz Słońca, lśniące w poświacie jego promieni, dziś jest innym. Samo nie zdobyłoby się na bunt — zbyt jest leniwe, zbyt lubi spokojne życie, zbyt bawi się zręcznymi figlami delfinów, zbyt chętnie ze złośliwym uśmiechem patrzy na hekatomby morderstw, dokonywanych w imię zaspokojenia głodu przez zamieszkujące jego łono potwory. Morze ulega jewnak wiatrowi. Wie ono, że Wiatr jest panem przestrzeni. Wie, ze, rozwścieklony, umie ten tyran dusić, cisnąć tak, że ku niebu wytryskają płynne ręce z błaganiem o litość. Wie, że niebo obojętnie patrzy na krzywdę morza, samo pobadłe z wrażenia... Wie, że wiatru trzeba posłuchać...

Uderza Wiatr w żagle... Pcha je, przygina maszty ku powierzchni wody. Rozstępuje się Morze, daje miejsce statkowi, by, położony na burcie, przygnieść ogromną falą grzywacza. Ale uparty Człowiek-Zdobywca trwa: wie on, że zwyciężyć może cierpliwością tylko. Zmniejszył powierzchnię oporu, skrócając żagle, zwraca ostry dziób statku przeciw fali, broni się przeciwko przechyłom przemyślną budową kadłuba, obciążonego u dołu żelazną mocą kilu... Uderzony brutalnie przez wiatr statek prostuje się, by znowu za chwilę ugiąć się i nów wyprostować.

Szaleje Tytan-Wiatr...

Rozpętał piekło na morzu. Ten leniwy, spokojny żywioł, smagany suchymi, szeleszczącymi uderzeniami, rozwściekl się wreszcie. Pluje ku niebu pianą grzywaczy, puchnie olbrzymimi górami, dając możność Tytanowi pchnąć te góry na wroga. Fala za falą, grzywacz za grzywaczem. A wiatr, jeszcze nie syty, chlaszcze po falach, wzbija srebrny pył ku niebu. Już Morze nie ciężkie. Przestaje być płynem — staje się jakimś przez pół materialnym tylko eterem. Lekko, jakby kpiąc sobie ze wszelkich praw przyrody, wzbija się ku górze, opada, by znów za chwilę sięgnąć pod niebiosa.

Przerażone do głębi wanty jęczą, rozpaczają. Widzą wilgotne łożysko, na którym spocznie tam, głęboko, w łonie morza, statek. Czują już, jak koło nich owinie się oślizgła ssawka ośmiornicy, jak między nimi, a masztem prześlizgiwać się będzie potworne cielsko rekina, prowadzonego przez zręczne ryby-piloty. Nie cieszy ich myśl, że na pokładzie strzaskanym zakwitną przecudne aktynie, ukwiały, które wirowym ruchem swych do listków kwiatu chryzantemy podobnych macek łapać będą nieostrożne żyjątka. Nie bawi ich myśl, że krab-pustelnik schroni swe miękkie ciało w skorupę mięczaka, że przepiękne wodorosty obwiją cały statek, zamieniając go w cudny klomb podwodny.

Płaczą, jęczą, rozpaczają wanty...

Wścieka się wicher...

Mało mu stałych, mocnych uderzeń. Wróg jego, Człowiek-Zdobywca, choć ze strachem na dnie duszy, trwa, istnieje, nie daje się złamać. Nic to, że z hukiem wyleciał w przestrzeń jeden z żagli, nic to, że statek stoi prawie w miejscu. On trwa, i choć twarz jego pobladła zwarła się w twardą maskę oporu, w oczach błyszczy wola przetrwania.

Zwiera się w sobie Tytan-Wiatr...

Chwyta w garść już nie morze, ale i niebo. Pędzi zwał czarnych chmur, wzmacnia swą siłę. Jeszcze bardziej rozpaczliwie wyją wanty, jeszcze silniej skrzypią wiązania statku. Już wiatr dochodzi, uderza w furii szkwału. Ale szarpane, darte, strzępione chmury nie wytrzymują wściekłych uderzeń wichru — giną, rozpływając się w rzęsisty deszcz. Duże krople słodkiej wody z niebios spadają na morze, na statek. Zatrzymuje się na chwilę wicher, jakby widok śmierci chmur kazał mu zastanowić się nad znikomością istnienia, uspokaja się morze, zdjęte litością nad ginącymi we łzach deszczowych chmurami.

Ale po chwili znów wicher szaleje...

I znów suchy szelest wiatru, znów jęk want, trzeszczenie wiązań statku, szum fal, znów uśmiechy słońca, gorączkowe bieganie zszarpanych, podartych obłoków, znów wściekły atak szkwału, znów łzy niebieskie deszczu...

A Człowiek-Zdobywca trwa...

Przychodzi wreszcie moment, gdy wyczerpują się siły Tytana-Wiatru. Jeszcze zrywa się do walki, jeszcze uderza suchym szelestem o żagle, jeszcze rzuca masami wody ku niebu. Ale czuć już, że słabnie. Powoli uspokaja się jęk want, powoli zmniejsza się ilość grzywaczy, znika pył wodny z powietrza.

Jeszcze parę godzin — i wiatr przycicha zupełnie prawie. Zrywa się od czasu do czasu, ale przetacza się po przestrzeni, jak ułaskawiony lew, po puszystym dywanie, groźny, ale pieszczotliwy i jakby pieszczot pragnący. Mruczy, ale pomruk jego niema nic w sobie z pomruku pioruna.

Morze zaczyna swój posztormowy rachunek sumienia. Szemrze martwą falą, bije czołem o burtę statku, jakby przepraszając za swoją wściekłość niedawną, jakby ślubując, że z wiatrem przeciwko Człowiekowi-Zdobywcy się nie sprzymierzy.

A wanty, uspokojone, kwilą coraz ciszej, jękną czasem na wspomnienie strasznych marzeń sztormowych, aż wreszcie zasypiają, jak spłakane dziecko.

Oszedł sztorm...

Przegrał wiatr...

PAWEŁ KRZOWSKI

Trzydziestolecie pracy naukowej prof. Józefa Ujejskiego

Piękny i poważny dorobek naukowy ma poza sobą Dr. Józef Ujejski, Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Viceminister Oświaty, wybitny uczony-humanista, prawy obywatel i przyjaciel młodzieży. Już jako student Uniwersytetu Jagiellońskiego zwrócił na siebie uwagę uczonych Starej Wszechnicy. Studiował historię literatury i filozofię, nie pominął jednak i studiów historycznych. Dorobek naukowy Prof. Ujejskiego trzeba podzielić na dwie kategorie: na studia z zakresu historii literatury i na studia z zakresu filozofii literatury.

Badania nad literaturą rozpoczął dostojny Jubilat od Reja. Interesowała go literatura staropolska, a zwłaszcza „wiek złoty". Nic dziwnego, wyszedł przecież z dobrej szkoły profesorów Tarnowskiego, Chrzanowskiego, Windakiewicza i Brücknera. Przerzucił się jednak do wieku XIX i rozmiłował się w epoce „Burzy i naporu", w epoce wielkich systemów idealistycznych. Pierwszą większą rozprawę poświęcił dramatowi Słowackiego „Kordianowi". Jest to głęboko analitycznie napisana praca habilitacyjna, która zrobiła mu rozgłos na polu naukowym i wprowadziła młodego uczonego do literatury. Następne prace o „Nieboskiej komedii", „Anhellim" są jakby dalszym ciągiem rozwoju umysłowego i zachętą do badań nad umiłowaną epoką. Prof. Ujejski ma oryginalne podejście do wybranego przez siebie tematu i do samego przedmiotu. Umie przemyśleć zagadnienie i dać prawdziwy obraz myśli, idei wieszczów narodowych. Dzieło literackie analizuje jako myśliciel, analizuje je z punktu widzenia filozoficznego, można Go więc nazwać filozofem literatury. Na tym właśnie polu zabłysnął prof. Ujejski, jako wytrawny krytyk i obiektywny sędzia. Dla przykładu przpomnijmy sobie trzy jego prace: o Bukattym, „Król nowego Izraela" (o Grabiance) i „Ocenę absolutu" (rzecz o Hoene-Wrońskim). Są to studia o wielkiej wartości naukowej i zarazem literackiej, zwłaszcza praca o Wrońskim, która narobiła tyle hałasu w świecie naukowym, a zwłaszcza wśród wielbicieli Wrońskiego. Prof. Ujejski umiał odeprzeć ataki, umacniając je niezbitymi argumentami.

Zainteresowania Jego objęły prawie cały wiek XIX-ty. Opracował listy Zana, listy Norwida do Krasińskiego i Cieszkowskiego i zaopatrywał je głębokim wstępem i uwagami. Wydał bardzo ciekawą rozprawkę p. t. „Naundorf, Viartras i Towiańszczyzna", która była jakby wstępem do „Dziejów mesjanizmu polskiego". Powieść poetycka „Maria" Malczewskiego doczekała się obszernej monografii. Ostatnio napisał gruntowne studium psychologiczne o człowieku-artyście. Conradzie Korzeniowskim. Trudno w tak krótkim artykule wymienić nawet większe rozprawy prof. Ujejskiego, ale wypada przecież wymienić kilka większych artykułów o IV części „Dziadów", drukowanych w „Ruchu Literackim", oraz mniejsze przyczynki, rozrzucone po różnych czasopismach naukowych.

W literaturze najważniejsza jest metoda naukowa. Nie będę tutaj wyjaśniał rolę badacza jaką posługuje się w nauce, bo tym tematom poświęcono setki rozpraw. Prof. Ujejski bada literaturę, jako naukę. Są dwie metody naukowe w historii literatury: filologiczna i socjologiczna, ściślej określmy: historiozoficzna. Pierwsza zajmuje się osobowością w literaturze (Literaturgeschichte), druga pierwiastkiem psychologicznym w dziele sztuki, analizą (Literaturwissenschaft). Prof. Ujejski, acz kolwiek był uczniem starej szkoły filologicznej, natomiast jest zwolennikiem nowej szkoły analityczno-historiozoficznej. Kłótnia uczonych na temat metod, która z nich jest lepsza, nie jest rozstrzygnięta. Wzięli w niej udział tacy historycy literatury, jak: Dilthey, Dibelius, Lacomb, Fay, Farinelli, Lehmann, Freitag, Croce, a w Polsce Łempicki, Korbut, Grabowski, Kucharski, Kridl, Klejner, Chwistek, Suchodolski, Irzykowski, Troczyński i młoda plejada epigonów.

Nic więc dziwnego, że profesor Ujejski wykształcił spory zastęp młodych uczonych w dziedzinie historii literatury, wystarczy wymienić jego uczniów: prof. Konrada Górskiego, D-ra B. Suchodolskiego, Dr. Giergielewicza, Dr. Grzegorczyka, Dr. Mazarakiego, Dr. Mianowską, Dr. Korzeniewskiego, Dr. Siedleckiego, Dr. Simona, powieściopisarkę, autorkę „Noce i Dnie", Dr. Marię Dąbrowską i in.

Kto raz był na wykładzie prof. Ujejskiego, ten musiał zawsze chodzić. Aula była zawsze przepełniona nie tylko przez studentów, ale i przez literatów, uczonych, dziennikarzy i publiczność. Wykład Jubilata był satysfakcją, z lubością słuchano się argumentów i wykładów uczonego. Seminaria prowadził pod względem metodycznym wzorowo, był naszą encyklopedią, bibliografią i zawsze chętnie służył radą każdemu studentowi. Przy egzaminach był sprawiedliwy, bowiem zmuszał uczącą się młodzież do pracy, uczył poznawania studiów, godności i powagi nauki.

Kochał młodzież!

Wystarczy przejrzeć Jego mowy Rektorskie, ażeby przekonać się, jak zawsze bronił autorytetu młodzieży na katedrze i w Sejmie. Prawy obywatel, szlachetny człowiek został powołany na odpowiedzialne stanowisko podsekretarza Stanu w Ministerstwie Oświaty i na tym stanowisku napewno nie zawiedzie młodzieży, będzie walczył o jej prawa tak, jak walczył o prawa i godność Uniwersytetów przed kilku laty.

Tydzień polskiej prasy codziennej

Polska prasa codzienna jest ciekawym widowiskiem dla bezstronnego obserwatora: w gruncie rzeczy zależna, uboga, „robi" jednak „minę" potęgi światowej. I czasem wydaje się, że, przynajmniej w Polsce, pewne wpływy posiada.

Przeszła prasa polska w ostatnich latach ciekawe ewolucje: od „prowincjonalnych" systemów redagowania pism poprzez „czerwoniackie" metody, czasem wprost na jakiś gangsteryzm dziennikarski zakrawające, do obecnego „uspokojenia", a nawet pewnych pozorów nawrotu do publicystyki.

Cóż jednak na to poradzić, gdy „nastawienie prasy jest tak znane publiczności, że orientuje się ona doskonale, jaki będzie artykuł wstępny, jak oświetlane będą wypadki w Sejmie w każdym piśmie.

I datego przegląd prasy jest i trudny i łatwy. Trudny — bo nieraz trzeba czytać między wierszami, łatwy — bo wiadomo, co w wierszach da się wyczytać.

Zacznijmy od t. zw. Koncernu pism prorządowych. Już ten termin właściwie należy do historii. Jeszcze można mówić o jednolitym stanowisku „czerwonej" prasy i „Gazety Polskiej", choć ta ostatnia usilnie unika deklaracji na tematy polityki wewnętrznej. Zato prasa „czerwona" bardzo gorliwie interpretuje każdy krok rządu w superlatywach, choć większą ilość uczucia znać w stosunku do poczynań min. Becka.

Natomiast „Kurier Poranny", który zresztą zmienił redaktora naczelnego, zupełnie poważnie bierze swój charakter pisma lewicy. I nawet w sprawie gdańskiej wypowiada się niebywale ostro.

Blok, jeżeli blokiem to można nazwać, pism prawicowych, żyje, jak dotychczas podglądaniem kulis polityki sanacyjnej — „dekompozycją" — jeżeli można tu użyć tego dość modnego dziś słowa. No, i żyje Żydami, „folksfrontem", atakami na Związek Nauczycielstwa Polskiego i t. d.

Gdy stale czyta się te pisma, doprawdy można uwierzyć... w potęgę sanacji. Zapewnie ani b. premier Sławek, ani b. premier J. Jędrzejewicz czy Leon Kozłowski sami nie są zbyt pewni, czy ich rozmowy lub niechętne odnoszenie się do „Naprawy" wywierają taki wpływ na losy Polski, jaki im przypisują pisma prawicowe!

Ale i w tym chórze są rozmaite głosy. „Tradycyjnie", wedle recept niesławnej pamięci „Dwugroszówki" prowadzony „Warszawski Dziennik Narodowy" głosi wyraźnie chwałę Stronnictwa Narodowego. Rzecz ciekawa, że p. prof. Rybarski woli drukować swe ekonomiczne artykuły w „Kurierze Warszawskim".

„Goniec" może najlepiej ujmuje swą rolę nie tylko informatora, ale i trybuny publicznej. Znaleźć tam można, obok plotek i ploteczek, czasem i zupełnie niezły, rozsądny artykuł polityczny czy gospodarczy. Widać w tym piśmie pewne zrozumienie konieczności liczenia się z życiem.

Natomiast wprost strasznym w swym braku kultury pismem jest „A. B. C.". Najgorsze czasy pism brukowych zakrawają na czasy subtelnych markizów w porównaniu z tym, co czyta się codziennie w organie „młodych". Deklinuje się słowo „Żyd", wypisuje się tak dziwne rzeczy z przecie niedawnej historii Polski, że nawet p. J. Gertych zyskuje na porównaniu. I podobno to ma być przyszłością kierunku „narodowego"! Jak daleko odbiegamy ot publicystyki Wasilewskiego, Hłaski, Wł. Jabłonowskiego!

A teraz prasa socjalistyczna. „Robotnik" obok „Dziennika Narodowego" jest może najbardziej konserwatywnym pismem, o ile chodzi o metody redakcji. Artykuły M. Niedziałkowskiego, „Imbusia", Kaczanowskiego — wszystko to już było — i jak dawno było! A dla rozrywki wiecznie zwyciężające wojska „czerwone" w Hiszpanii! Chyba, że czasem strzeli jakimś nowym konceptem niezniszczalny K. Czapiński!

Norbert Barlicki nie wytrzymał w „Robotniku" i stworzył wraz z tow. Dubois „Dziennik Popularny". Pismo to odrazu stanęło dobrze: klientela szybko się znalazła, bo dawno takiego pisma potrzebowała. I trzeba przyznać że „popularny" usiłuje zerwać z szablonem: redagowany z temepramentem, usiłuje wciągnąć do publicystyki nawet chłopów...

Z prasy prowincjonalnej naturalnie na plan pierwszy wysuwa się krakowski „I. K. C." Po okresie gwałtownej akcji, w której usiłował dorównać nawet prasie „narodowej" w antysemityzmie, wietrzeniu wszędzie komunizmu, przycichł jakoś i bardziej dziś interesuje się sprawami gospodarczymi i ks. Julianną w Krynicy.

Zato wojuje po dawnemu „Słowo" wileńskie i p. Cat.

Az.

Z prasy francuskiej

Francja przechodzi okres przebudowy społecznej. Daleko tam jeszcze do nastrojów rewolucyjnych: o ile w zeszłym wieku co jakiś czas zmieniała ona ustrój polityczny, to jednak ostatnie lat trzydzieści ustaliły ustrój republikański. Ale w dziedzinie społecznej państwo to było, a i jest jeszcze, jednym z najbardziej konserwatywnych: robotnicy nie mają takich uprawnień, które uchodzą za normalne nawet u nas w Polsce—urlopy płatne, ubezpieczenia społeczne, delegaci fabryczni i kopalniani — wszystko to stało się dla robotnika francuskiego rzeczywistością dopiero obecnie. Jak dotychczas, płatny zresztą lepiej, niż robotnik belgijski, francuski proletarjusz zabezpieczenie swej starości widział przedewszystkiem w oszczędności.

Ten stan rzeczy wywołuje już sam przez się kryzys państwowy w postaci stałych od szeregu lat deficytów budżetowych, powiększających się jeszcze dzięki ogromnym wydatkom na obronę narodową.

Dzięki pewnej demoralizacji, jaka oddawna już wkradła się do parlamentu i prasy francuskiej, powstały we Francji kierunki pozaparlamentarne. zmierzające do zmiany ustroju politycznego, do ograniczenia praw parlamentu. Rzecz jasna, że przeciwnicy odrazu zakwalifikowali te ugrupowania do liczby ugrupowań faszystowskich. Jednak najpoważniejsze z nich, Partja Społeczna pułk. de la Rocduc'a i ugrupowanie b. komunisty, Doriot'a, stoją na gruncie parlamentarnym.

Chcąc zapoznać się z walką polityczną we Francji, lepiej jest obserwować tygodniki polityczne, niż prasę codzienną. Prasa codzienna zbyt jest uzależniona od subwencji, ogłoszeń, by mogła naprawdę odzwierciadlać walkę ugrupowań politycznych.

Reprezentantami obozów walczących są: prawicowy „*Gringoire*", którego głównym publicystą jest b. premier André Tardieu, znający doskonale przeciwników, b. poseł Belfort'u, dawny współpracownik Jerzego Clemenceau,—prawicowy również. choć o wiele łagodniejszy w tonie „*Candide*" — i lewicowa „Marianne". Walka, jaką prowadzą te pisma, odzwierciadla właściwą walkę polityczną francuską. Nie jest to walka łagodna: przy wolności prasy, jaka panuje we Francji, przeciwnicy umieją zadawać sobie wzajemnie ciosy.

W „*Cringoire*" Tardieu w doskonale napisanym artykule wstępnym wypowiada swą niewiarę w poczynania gospodarcze gabinetu Leona Bluma. Stwierdza on, że 2 stycznia było jeszcze we Francji 420 tysięcy bezrobotnych, że wbrew swoim zasadom socjaliści zmuszeni są stanąć na stanowisku stałych podwyżek płacy robotniczej, dzięki czemu utrudniona jest kalkulacja kosztów produkcji. Koszty utrzymania zwiększyły się o 20%. Cena zboża nie podniosła się i jest o 20 fr. fr. niższa od kosztów produkcji. Budownictwo nie rozwija się. Bilans handlowy w szczególności dzięki przywozowi węgla z Anglii jest zagrożony. Upadłości we Francji dochodzą do 12 miljardów franków. Klasy średnie są obciążone. Deficyt budżetowy wynosi 40 miljardów. przyczym państwo będzie zmuszone wyciągnąć z rynku pieniężnego w 1937 r. 35 miljardów. Rząd obciążył się już obecnie w Banku Francuskim pożyczką 15 miljardów, a pozatem powiększył obieg banknotów o 2 miljardy W ten sposób przygotowywuje się inflację.

Oto szereg poważnych zarzutów, jakie były premier stawia obecnemu gabinetowi.

Na tem jednak opozycja „Gringoir" nie kończy się: znany publicysta Raymond Recouly zajmuje się sprawą armji. Wedle opinji jego, Francja zbyt mało zajmuje się kwestją tanków i artylerji ciężkiej. Zbyt słaba produkcja przemysłu wojennego jest w związku ze stałym stanem podniecenia, jaki panuje wśród robotników.

„*Candide*" znów w ironiczny sposób charakteryzuje wielki polityczny zjazd w Lionie, gdzie premier Blum wygłosił swą znaną już mowę, stanowiącą wraz z przemówieniem angielskiego ministra Eden'a ofertę dla Niemiec. Gdyby wierzyć temu pismu, przyjęcie Bluma w Lionie było bardzo chłodne: mieszkańcy nie chcieli nawet oglądać swych ministrów, tembardziej zaś robić im owacje.

Obydwa pisma poza atakami na rząd posiadają szereg ciekawych informacji, podają wiadomości, które każdego, znającego lub chcącego poznać Francję, obchodzą: są tam i plotki polityczne (słynne „repetez-le..." (powtarzajcie) „Gringoir'a") i sprawozdania z książek, radia, kina, i doskonale nowele, krótkie charakterystyki osób działających we Francji. Jednym słowem—czytelnik może być zadowolony...

Takim samym pismem jest lewicowa „*Marianne*". Naturalnie, że co jest czarne dla „Gringoise" i „Candide", jest bardzo białe dla „Marianne"! Na temat mowy Bluma i Edena, poważny publicysta lewicowy Jacques Kayser stwierdza że po takich wypowiedzeniach się Francji i Anglii „głos musi zabrać Hitler" o przemówieniu Bluma wypowiada się lewicowy radykał jaknajczulej: Blum staje mu się nieomal tak bliski, jak przywódca radykałów, minister wojny, Edward Daladier. I wreszcie konkluzia: „jeżeli Niemcy hitlerowskie zechcą, każde słowo, wypowiedziane przez nie, znaczyć będzie „pokój..."

Wiemy już, jaką była odpowiedź Hitlera...

Rzecz charakterystyczna, że „Marianne" z wielkim entuzjazmem odnosi się do Wystawy, jaką Paryż szykuje na rok obecny. Niewątpliwie w ożywieniu turystyki, w powiększeniu obrotów handlowych chce pismo lewicowe widzieć ulgę dla istotnie trudnei roli obecnego rządu francuskiego.

Specjalnie obszernie omawia „*Marianze*" kwestję amnestji. Jest, rzecz prosta, zwolenniczką amnestji nawet dla dezerterów, czemu zdaje się opierać minister wojny.

Stosunek do Rosji jasno daje się odczuć u „Marianne", gdy czyta się zresztą doskonale i przez Rosjanina napisany artykuł o Aleksandrze Puszkinie. „Gringoire" woli pisać o jakoby podwójnym szpiegu, zabitym niedawno w Lasku Bulońskim, Nawaszynie.

Prasa francuska — to jeszcze nie Francja. I czytając, szczególnie tak bojowe pisma, jak te trzy tygodniki, musimy o tym pamiętać. Francuz lubi ostre wypowiedzenia się, lubi dobry dowcip, piękne słówko, ale nie przejmuje się nimi zbytnio. Lata przedwojenne urobiły typ współczesnego Francuza: nawet komunista francuski jest przedewszystkiem drobnomieszczaninem, który lubi dobrze zjeść, wypić, trochę podemonstrować na ulicy, a pozatem obcinać kupony od akcji, które skupuje gorliwie. Ale obserwacja życia francuskiego każe nam wierzyć, że w chwili niebezpieczeństwa spełni swój obowiązek równie dobrze zwykły obywatel, jak jakiś „Ojciec Zwycięstwa".

I dlatego Francja jest potęgą!..

STARZY i MŁODZI

Wprowadzamy dział młodzieży. Chodzi nam o to, by t. zw. społeczeństwo starsze zorjentowało się w tej dziś tak skomplikowanej dziedzinie życia polskiego. Nasi współpracownicy ze sfer akademickich będą mieli zupełną swobodę wypowiedzenia się.

Redakcja.

W życiu codziennym spotykamy na każdym niemal kroku organizacje społeczne, które w pracy swej starają się uzupełnić działalność państwa i dotrzeć tam, gdzie z natury rzeczy urzędnik dotrzeć nie potrafi, lub też podejmują trudy i prace ze względu na swój ogrom, przekraczające możliwości finansowe państwa. W istocie swej praca społeczna jest pracą abiurokratyczną, różnorodną, a nieszablonową i wreszcie podejmowaną z pobudek bezinteresownej służby dla otoczenia. Tak przedstawia się jednak tylko teoria, w rzeczywistości obserwujemy zupełnie co innego. Do pracy tej, spełnianej poza zajęciami głównymi przez obfity u nas stan urzędniczy i inne odłamy inteligencji, wdzierają się wprost z życia klasyczne objawy biurokracji, które uzewnętrzniają się w dwojakiej formie: 1) komisyjnym sposobie załatwiania najbłahszych spraw, 2) w pojawianiu się w naszych organizacjach coraz więcej biurek, za którymi znajdują miejsce płatni urzędnicy, wykonywujący gros pracy. Innym nie mniej niepokojącym objawem jest szablon.

Na tym tle zrozumiałe są też tendencje, wychodzące od prezesów lub biurokratycznego personelu organizacji społecznych, zmierzające do wciągnięcia do pracy pod swym kierownictwem młodzieży akademickiej. Widzą oni wtedy możliwość wyjścia z przykrej sytuacji. Kalkulacja jest bardzo prosta: dla mas tytuły, zaszczyty i inicjatywa twórcza dla młodzieży „praca" wykonawców. Pozostaje tylko sprawa zdobycia młodych i wprzęgnięcia tej siły do mechanizmu roboty organizacyjnej. I tu używa się wzniosłych słów zachęty — mówi się z emfazą, by bezrobotna młodzież nie pozostała bezrobotną na wszystkich polach, że przed nią otwarte jest zawsze pole pracy społecznej, więc nie powinni zostać biernymi, a wreszcie, ze oczekuje się na młodych, którzy do pracy wniosą świeżą energię, ożywią ją i poprowadzą raźno dalej.

Z tak pięknymi deklaracjami współpracy, gdzie między wierszami kryją się zawsze chęci zdobycia „murzynów", na których możnaby przerzucić ciężar własnych obowiązków — postępuje równocześnie ostra kampania przeciwko istniejącym organizacjom młodzieży. Zarzuca się im bezczynność i niezaradność, a dla ilustracji porównywuje się liczbę członków organizacji z ogólną cyfrą akademików. Takie porównania niczego nie dowodzą, a panowie prezesi, mówiąc o tym zdają się zapominać, że choć czasem organizacje ich liczą b. wielu członków (nie chcę wcale twierdzić, że snobów) to jednak musi tam być wcale nie szczególnie, skoro po materjał ludzki zwracają się właśnie do młodych. Tajemnica niezadowolenia z organizacji młodzieży leży w ich nieustępliwym stanowisku, streszczającym się w tym, że, nie odrzucając zasadniczo współpracy ze starszym społeczeństwem, domagają się one, by w pracę młodych nie przystrajali swych skąd inąd czcigodnych głów różni panowie prezesi. Współpraca — owszem, ale niech to, co młodzież zrobi, się nie cechuje imionami „starszych" (!)

Panom prezesom to jednak nie na rękę: wolą oni widokami protekcji i poparcia ściągać młodych do pracy a na organizacje rzucać pioruny fałszywego oburzenia. Stanowisko bardzo niesprawiedliwe, gdyż trzeba się też zgodzić że, jeżeli teren akademicki ogałaca się z jednostek czynnych, werbowanych do pracy starszych bezpośrednio, to poziom prac w organizacjach młodzieży musi uledz obniżeniu. Panowie prezesi muszą być lojalni, a to prowadzi do uznania organizacji akademickich za naturalne da młodych „punkty werbunkowe", które będą też notowały na ich konto prace wykonawcze dla starszych. Muszą też ci panowie zrozumieć, że organizacje młodych mają swój naturalny teren działalności — społeczeństwo akademickie, i jedynie po opanowaniu tego terenu, gdy pozostają jeszcze wolne siły, winny być one użyte czy to do pracy dla starszego społeczeństwa, czy też, co wydaje się być słuszniejszym, zużytkowane do urabiania następców, którzy dziś zasiadają jeszcze na ławach gimnazjalnych. W tym też kierunku winna zwrócić się pomoc młodych.

Następnym warunkiem współpracy „młodych" ze „starymi" musi być jasne i wyraźne formułowanie postulatów czy dezyderatów przez tych ostatnich. Nie święty gniew i oburzenie, ale przyjacielskie postawienie sprawy: to się nam nie podoba, powinniście to i to robić, żądamy tylu ludzi do takiej pracy. Przy podobnym ustosunkowaniu napewno uniknie się rozdrażnienia, które obserwuje się, gdy starsi operują ogólnikami „bezczynności" czy „bierności" nie powiedziawszy uprzednio, czego chcą.

W końcu jest jeszcze jeden może najważniejszy warunek pomyślnej pracy młodzieży i ich współpracy ze starszymi — to poparcie moralne starszych i ich szczere a głębokie zainteresowanie pracą młodych.

Jakże często zdarza się, że organizacja „starszych" społeczeństwa celem „wychowania" sobie następców daje impuls do powstania odpowiedniej komórki organizacyjnej na terenie akademickim! Jest to objaw naturalny jednak rzadko można widzieć, by „starsi" zatroszczyli się o dalszy jej rozwój. Rzucają chętnie nieukształtowaną jeszcze organizację na fale życia, sądząc, że zrobili wszystko, co trzeba, a potem dziwią się, gdy spostrzega, iż nowy twór, pozostawiony sam sobie, z trudem utrzymuje się na powierzchni życia, a już nie ma mowy, by mógł za nim nadążyć, że pozostaje w tyle, nie przystosowując się do nowych haseł i potrzeb, które czas wysunął. W takich warunkach zjawia się pierwsze niezadowolenie, które z dniem każdym przybiera na rozmiarach.

„Starzy" denerwują się zresztą nie bez pewnej racji, zapominając jednak, że sami są przyczyną tego zdenerwowania. A wyjście jest całkiem proste — pomyśleć o kuratorze dla organizacji młodych. Kuratorem jednak musi być osoba bardzo taktowna i mająca łatwość obcowania z młodzieżą. Kurator nie może młodzieży nic narzucać, chociaż powinien przyciąć skrzydła planom nierealnym. Ale nawet wtedy nie stawiać absolutnego veta; powinien iść wciąż z młodymi i ich zamierzeniami, uzupełniając brak doświadczenia młodych, ale nie w sposób apodyktyczny. Ten *czynnik* zainteresowania starszych pracą młodych, czego brak młodzież tak silnie odczuwa, usunąłby wiele błędnych posunięć pod warunkiem, że kurator nie będzie traktował przedstawianych mu spraw z nieosiągalnych wyżyn swego stanowiska, ale zniży się do młodzieży po przyjacielsku i nie ograniczy się do wypowiadania sakramentalnych ciepłych lub chłodnych słówek. „a! dobrze, doskonale, nareszcie coś robicie", „o, to prawdziwa robota" lub „róbcie, ale ja w to nie wierzę".

Przestrzeganie tych paru uwag, które nasuwa samo życie, przyczynić się może do usunięcia wielu zgrzytów ze stosunków „starych" z „młodymi" w pracy społecznej.

W. K.

Jeszcze o pracę dla niepodległościowców

Jest rzeczą charakterystyczną, że wszelkie rozważania na temat biedy wśród uczestników prac niepodległościowych, b. żołnierzy Legjonów, Peowiaków nieodmiennie kończą się jednym: apeluje się do rządu o posady lub koncesje, w najlepszym razie o wykonanie ustaw odznaczeniowych. Tymczasem, jeżeli nawet bardzo ostrożnie obliczać ilość tych, którzy przeszli nawet tylko przez Legjony i P.O.W., liczba ta jest tak wielka, a kwalifikacje do pracy na urzędach tak rozmaite, że bardzo trudno byłoby załatwić sprawę zabezpieczenia wszystkich jakimś jednym rozporządzeniem. Niepodobieństwem jest stworzyć kadrę nowych weteranów, jak to uczyniono z powstańcami z 1863 r.: znaczna większość niepodległościowców jest jeszcze w sile wieku, zdolna całkowicie do pracy. A z drugiej strony, jeżeli nawet daje się pierwszeństwo Kawalerom Krzyża Niepodległości, Krzyża Brygady, to jednak konkurencja jest tak znaczna, że niejednokrotnie właśnie oni albo są pominięci przy obsadzaniu posad, albo też z braku dostatecznych kwalifikacji są szybkim tempie dystansowani przez młodszych.

I trudności życiowe mnożą się, a niezadowolenie wśród niejednokrotnie młodych emerytów, a czasem od lat bezrobotnych, nie mających nadziei na znalezienie pracy rośnie. Nie załatwiają sprawy i koncesje monopolowe: w gruncie rzeczy sprowadzają się one do otrzymywania paruset złotych w najlepszym razie za firmę, gdy pracę, kapitał daje ktoś inny, który też zabiera i zyski, a koncesjonarjusz najczęściej, o ile jest zdrów i silny, uczy się tylko próżnować.

Czy wyjściem z sytuacji nie mogłoby być zwrócenie się wielu zpośród b. uczestników walk niepodległościowych do handlu — i to nie tylko handlu drobnego, ale i średniego?

Najczęściej taki b. legun czy peowiak jest pozbawiony kapitału, no, i kwalifikacji niezbędnych. Pojęcia nie ma, gdzie towar kupić, jak prowadzić rachunki, jak obchodzić się z klijentami. Jest b. żołnierzem, w miarę rubasznym, bardzo energicznym, lubiącym w dobrej kompanji trochę „wstawić" i przy dobrym kieliszku pogawędzić o dobrych czasach. Jak dotychczas, Związek Legjonistów załatwiał jedynie sprawy „interwencji" o posady, koncesje i t.d. dla biednych swych członków. Tymczasem może byłoby słuszniejszym, gdyby spróbowano innej drogi: stworzenia krótkich kursów handlowych po miastach i miasteczkach polskich, jakoteż pomocy w sfinansowaniu pierwszych kroków tych nowych handlowców.

W obecnym prądzie unarodowienia handlu i rzemiosła po małych miastach, naogół faktyczni pionierzy tego ruchu są pozostawieni sami sobie: od czasu do czasu daje się słyszeć, że ten czy inny emerytowany porucznik czy kapitan ściąga skąd się da trochę pieniędzy i zaczyna handel wędrowny. Dopiero odniedawna zaczyna się organizowanie Kas Bezprocentowych. Jak dotychczas, ruch ten jest w stosunku do potrzeb dość słaby. Nic więc dziwnego, że ruch odrodzenia handlu polskiego dostaje się w ręce Poznańczyków, bardziej z życiem gospodarczym obytych, zdających sobie sprawę z wagi organizacji i zamożniejszych.

Ale w tym ruchu, jak dotychczas, często bardzo widzi się tendencje jednostronne polityczne, co w rezultacie może doprowadzić do tego, że w szybkim tempie przy dobrej konjunkturze gospodarczej ucichnie on, i wszystko wróci do dawnych stosunków. Kwestja ideowych, mocnych przywódców ruchu, kwestja korpusu podoficerskiego dla powstającej aktywnej grupy społecznej mieszczańskiej jest zagadnieniem, nad którem przejść do porządku dziennego nie można. W szeregu już miejscowości stosunki ułożyły się w ten sposób, że aktywne stanowisko i zdolności organizacyjne jakiegoś b. legunа, peowiaka, podoficera rezerwy zaważyły decydująco na bycie małego miasteczka.

O to właśnie chodzi...

Ale, jeżeli organizacje b. wojskowych mogą pomóc swym członkom w uzyskiwaniu przygotowania naukowego do pracy w handlu, to lepiej sytuowani członkowie tych organizacji mogą dać takim pionierom kapitał. Naogół na kupno niewielkiego sklepiku wystarczy, o ile chodzi o małe miasto, a nawet miasto powiatowe, paręset złotych. Daleko lepiej jest, by kandydat na kupca dostał ten kapitał tytułem pożyczki bezprocentowej na dłuższy termin, aniżeli wypłacanie wsparć lub dawanie koncesji, które i tak nie będą właściwie w rękach koncesjonarjusza.

Rzucamy projekt skierowania bezrobotnych b. uczestników prac i walk niepodległościowych do handlu i rzemiosła w mniejszych miastach i miasteczkach polskich. Pragniemy, by projekt ten wywołał dyskusję w organizacjach naszych. Chcemy, by i czytelnicy nasi wypowiedzieli się w tej sprawie. Ze swej strony gotowi jesteśmy do jaknajdalej idącej akcji w tej sprawie.

O. L. D.

Książka brazylijska o Polakach

W Rio de Janeiro ukazała się książka p. t. Alguma coisa do que vi", w której autor, Alfredo Pessoa, zamtejszy subdyrektor Departamentu Turystyki, opisuje swe wrażenia z podróży po Europie.

Między opisywanymi krajami mamy tu i Polskę, której autor poświęca bardzo dużo miejsca. Do Polski—jak sam zaznacza—przyjechał wiedziony ciekawością, ażeby poznać życie tak sławnego na szerokim świecie narodu. O Polakach wyraża się z największym entuzjazmem, podziwia ich patriotyzm i stawia go za przykład miłości Ojczyzny.

Autor przedstawia Polskę współczesną z pełnym uznaniem dla pracy Polaka, wymienia szereg bohaterów narodowych, a opisując zabytki Warszawy, nie zapomina o sztuce i nauce polskiej. Osobny dział poświęca strukturze gospodarczej państwa. Inaczej sobie Polskę wyobrażał, sam to wyznaje: „spodziewałem się zastać Polskę, jako dom jeszcze niewykończony, a tymczasem zobaczyłem naród dobrze zorganizowany, przemysł rozwinięty, handel wielki, pełno szkół. Polska idzie w szybkim tempie do urzeczywistnienia snu swoich bohaterów i z każdym dniem dokłada ręki do ugruntowania pokoju światowego".

Tak pisze o Polsce obcy z za oceanu.

Bohaterski żeglarz Władysław Wagner w Ekwadorze

Władysław Wagner, który wypłynął w roku 1932 z Gdyni w podróż jachtem naokoło świata, znajduje się obecnie w republice Ekwador Ameryki Południowej.

Do Ekwadoru przybył Wł. Wagner parowcem z Australii, dokąd zawinął rok temu na swym jachcie „Zjawa II".

Z bliżej niewyjaśnionych przyczyn utracił „Zjawę II" w Australii.

Obecnie w Ekwadorze Polonia tamtejsza buduje nowy jacht Wł. Wagnerowi, który w niedługim czsie rozpocznie kontynuowanie rejsu dokoła świata. (Ligmor).

Państwowy Bank Rolny popiera klub brydżowy

(Z debat sejmowych nad budżetem Ministerstwa Rolnictwa).

Na jednym z posiedzeń komisji budżetowej Sejmu, na którym rozprawiano się z budżetem Ministerstwa Rolnictwa, poseł Hyla stwierdził, że Państwowy Bank Rolny przeznacza ze swych funduszów na krzewienie kultury na wsi 14 tysięcy złotych, natomiast na popieranie klubu brydżowego 50 tysięcy złotych (wesołość).

Czy konieczne są jeszcze jakiekolwiek komentarze?

Obroty portów polskiego obszaru celnego za rok 1936

Zamorskie obroty portów p.o.c. osiągnęły w ubiegłym roku cyfrę 13,2 miljonów ton, z czego wypada na Gdynię 7,75 miljonów ton, na Gdańsk, 5,45 miljonów. Cyfry te są większe niż w roku 1935 i wskazują, że handel zagraniczny Polski stale z jednakowym natężeniem kieruje się przez granicę morską. W roku 1936 przeszło przez porty Gdynia i Gdańsk 77% polskiego handlu, jeśli chodzi o ilość i 65%—jeżeli chodzi o wartość. (Ligmor).

Praca „Żeglugi Polskiej"

Żegluga Polska S. A. w Gdyni przewiozła w r. 1936 na statkach trampowych (żegluga nieregularna) 447,781,5 ton różnych towarów (masowych) i 3.154 bel bawełny. W porównaniu z r. 1935—392,588 t. Wzrost w tej kategorii przewozów wynosi 55,193 t. czyli ponad 14%. Przy ocenie tego wzrostu należy mieć na uwadze, że ponad 22 tys. ton z powyższej sumy zostało przewiezione przez Atlantyk s/s „Wisła" w komunikacji z Ameryką Południową i s/s „Kraków" z Ameryką Środkową. Z ogólnych sum przewozów przypada (w nawiasach dane za r 1935): na wywóz 249.023 t. (260.947 t.), na przywóz 180 467 t. (123.108 t) i na przewozy między portami obcymi 18 291. t. (8533 t.). (Ligmor).

Nowy skandal fundacyjny

To co się dzieje na terenie różnych fundacji w Polsce, jak Jakóba hr. Potockiego, hr. Kickiego i wielu innych, może być tylko przestrogą dla ludzi, którzy powodowani najszlachetniejszymi uczuciami chcieliby tworzyć nowe zapisy na cele społeczne. Jesteśmy świadkami pospolitego, prawie bezkarnego, rozkradania największego dobra publicznego, jakie niezaprzeczenie stanowią zapisy fundacyjne. Jest wprost karygodnem, że Najwyższa Izba Kontroli Państwa i Ministerstwo Sprawiedliwości dotąd nie pomyślały o odpowiedniej ustawie normującej gospodarkę i kontrolę majątkami fundacyj publicznych. Trzeba było dopiero skandalu i bijących się w oczy złodziejstw, by ta czy inna sprawa znalazła zainteresowanie odpowiednich czynników urzędowych. A do tego czasu rozkradziono prawie jawnie wiele milionów, które miały użyć niedoli ludzkiej, wzbogacić naukę, wychować zastępy prawych obywateli. I wszystko to się działo na oczach całego społeczeństwa, na oczach władz i czynników powołanych do strzeżenia wszelkiego dobra publicznego. Jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko gospodarkę Zarządu Warszawskiego Towarzystwa Patronatu nad nieletnimi, jednej z największych fundacji, gospodarkę, która, miast dawać dochody, z roku na rok niszczyła milionowej wartości zapis hr. Kickiego, doprowadzając cały majątek fundacji do ruiny, a ostatnio posuwała się do wypuszczania na czarną giełdę weksli, oprocentowanych na lichwiarskie odsetki, to jasnem się wydać musi, że nikt inny nie ponosi całkowitej winy jak tylko Ministerstwo Sprawiedliwości i Ministerstwo Opieki Społecznej jako władze powołane do sprawowania kontroli nad tą fundacją. Najpikantniejszym w całej tej cuchnącej bagnem korupcji jest fakt, że państwo udziela od wielu lat fundacji hr. Kickiego subwencji w kwocie 24 tysiące złotych rocznie, nie wnikając w to czy subwencja jest istotnie potrzebna i czy Zarząd prowadzi uczciwie gospodarkę majątkiem fundacji. A już chyba najłatwiej było dowiedzieć się władzom, że majątki obciążono w międzyczasie krociowymi długami, że po Warszawie krążyły masowo weksle z pieczątką fundacji i podpisami zarządu, weksle nie wydawane na pokrycie inwestycyj, lecz wystawiane za gotówkę pożyczaną u lichwiarzy z czarnej giełdy, na kilkadziesiąt procent rocznie, że administracja pochłaniała setki tysięcy złotych, z czem się przecież nie kryto wcale, bo uwidaczniano w bilansach Towarzystwa.

To wszystko wskazuje na jakieś poważne niedociągnięcia w naszej aparaturze państwowej, na jakąś karygodną lekkomyślność z jaką pozwalamy, by w Polsce panoszyła się korupcja i zupełnie jawna kradzież grosza publicznego, na jakiś wreszcie zanik nerwu samopoczucia gospodarczego.

Borykamy się z trudnościami niemal na każdym kroku naszego młodego życia państwowego i społecznego. Rząd odwołuje się do uczuć obywateli, urządza się zbiórki uliczne i „dni kwiatka", już nieraz na takie cele, które spotykamy normalnie w bilansach państwowych i samorządowych naszych wszystkich sąsiadów, opodatkowuje się nawet tego obywatela, który zarabia o wiele za mało w stosunku do potrzeb wegetacyjnej egzystencji, a tu z drugiej strony rząd szafuje pieniądzem państwowym na różnego rodzaju zbędne subwencje, płynące nierzadko wprost do kieszeń wydrwigroszów, a nawet pospolitych złodziei jak to ma miejsce z fundacją hr. Kickiego. Czy przed udzieleniem tej subwencji nie należało dokładnie i przez fachowców zbadać gospodarkę i stan majątkowy fundacji? Czy nie należało wcześniej zapobiec nadużyciom? Przecież to się działo tu, w stolicy państwa. Jak długo Polska będzie jeszcze oazą dla wszelkiego rodzaju żerowania. Czy administratorzy Towarzystwa Patronatu nad nieletnimi zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, czy otrzymają, jak to się niestety często dzieje, ciche odprawy i rekomendacje. Będziemy z całą uwagą śledzić gospodarkę zarówno tej jak i innych fundacyj i do tego tematu niebawem powrócimy.

Mak.

RADJO

Wytyczne radiofonii francuskiej

Podobne do zasad polskiego radia

Istnieje do dziś dnia otwarta dyskusja, sprawa chętnie i często omawiana: jakie są zadania radia. Opinie w tej kwestji są niezwykle liczne i podzielone, zarówno u nas, jak i gdzieindziej. To też nie od rzeczy będzie się przekonać jak sprawa ta jest traktowana we Francji, jakimi kryteriami kierują się państwowe radiofonie francuskie, których programy pozostają pod kontrolą rządu.

Są trzy zasady, według opinii miarodajnych czynników francuskich, na których powinno się opierać układanie i wykonywanie programów radiowych: informacja, kształcenie i rozrywka.

Zasada ta nie jest wynalazkiem specjalnie francuskim, hołdują jej bowiem wszystkie radiofonie, a tylko wzajemny stosunek trzech typów audycyj zmienia się w zależności od krajów.

Informowanie najszerszych rzesz uważane jest przez kierowników radiofonii francuskiej za najpierwszy obowiązek. Informacje winny być szybkie dokładne i bezstronne.

Trudniej przedstawia się realizacja następnego z zadań radiofonii, a mianowicie: kształcenia. Również i we Francji, podobnie jak i gdzieindziej, istnieje wiele zastrzeżeń przeciwko tej zasadzie. I tem jest także wielu słuchaczy, opiniujących bez żadnej ceremonii: radio powinno służyć tylko dla rozrywki.

Nie można jednak sobie wyobrazić, aby jakiekolwiek państwo cywilizowane, mając na swoje usługi tak wielki środek rozpowszechnienia wiedzy, jak radio, mogło nie wyzyskać tego środka. Trudno też uwierzyć, aby ludzie inteligentnj nie chcieli słuchać wiadomości, jakże nieraz ciekawych, tylko dlatego, że dotyczą one pewnych dziedzin wiedzy.

Audycje kształcące rozpadają się jeszcze na dwa duże działy: właściwych lekcyj radiowych i audycji z zakresu ogólnej kultury. Ten ostatni dział obejmujący znacznie szersze dziedziny, zaliczony być może do audycji ciekawych i zajmujących, podczas gdy pierwszy przynosi korzyści czysto praktycznej natury, jak naukę języków, repetytoria, reportaże naukowe i t, p.

Do audycji z okresu kultury ogólnej wchodzą we Francji zarówno koncerty jak i audycje mówione. W programach muzycznych panowała także początkowo teoria przemycania, nęcenia publiczności „lekką" muzyką, w programie której umieszczono utwory poważniejsze, praktyka wykazała jednak wkrótce błędność tej zasady. Radiosłuchacze, nie lubiący muzyki poważnej, wyłączali głośniki podczas nadawania tych utworów, lub słuchając ich bez uprzedniego przygotowania, zniechęcali się ostatetecznie do tego rodzaju produkcji. To też obecnie radiofonia państwowa unika tego mieszania programów, poświęcając każdemu rodzajowi czas i miejsce właściwe.

W programach żywego słowa największy nacisk położono na audycje z zakresu literatury i sztuki, wychodząc z założenia, że mikrofon ma w tej dziedzinie olbrzymie znaczenie. Książka, mimo swego rozpowszechnienia nie jest tak łatwo dostępna. Nie w każdej wiosce i miasteczku można mieć wielką bibliotekę lub teatr, aparat radiowy zaś znaleźć się może wszędzie i każdy radiosłuchacz, oddalony od większych ośrodków kultury, ma jednak możność dzięki radiu, zapoznania się z arcydziełami dawnymi i nowoczesnymi.

Naczelną zaś zasadą jest takie ułożenie programu, aby mógł on zainteresować jaknajwiększą liczbę słuchaczy i dostarczyć sposobności rowoju jaknajszerszym masom ludności.

Podobne kryteria zastosowano również w audycjach dla dzieci i młodzieży: wychodząc z zasady, że dzieci nie są tak naiwne, aby nie spostrzegły, że pod pozorem rozrywki chciano im dawać w dalszym ciągu lekcje, czego nie lubią, sprowadzono ten rodzaj audycji do minimum, zachowując tylko w propramach rozrywkowych ogólne zasady kształcenia smaku artystycznego i oddziaływania pięknymi przykładami. W dziale audycyj lekkich, jak skecze, monologi, wesołe komedie — linją wytyczną jest przede wszystkim unikanie trywialności. Tę samą zasadę zastosowano do lekkich produkcyj muzycznych, dopuszczając do mikrofonu całą serię wesołych piosenek, które nie będą arcydziełami, przedstawiają walory oryginalności lub trafnej satyry. Podobne kryterium zastosowano do operetek i muzyki tanecznej. Radio francuskie kieruje się zasadą, że niema muzyki poważnej i lekkiej, jest tylko muzyka dobra lub zła, że o wartości produkcji stanowi nietylko kategoria utworu, lecz i jego wykonanie, to też utwory „lekkie" odtwarzane są z tą samą prezycją artystyczną co najpoważniejsze koncerty.

Ty masz głos i ja mam głos

Po znanej „filozoficznej" mowie posła Budzyńskiego, p. Premier, przemawiając bezpośrednio do p. Budzyńskiego, powiedział mu:

— Panie pośle Budzyński, lecz się pan, bo pan jest chory, a Polska zdrowa.

W odpowiedzi poseł Budzyński odciął się:

— Do pana jednak nie pójdę się leczyć, gdyż nie mam do pana zaufania, jako do lekarza.

Robota na dwa fronty stanowi dobry interes

Po znanych zajściach antyżydowskich w Czyżewie, delegacja żydów udała się do pana Premiera z prośbą o pomoc. Pan Premier polecił wyasygnować pewną sumę na pomoc dla poszkodowanych handlarzy Niezależnie od tego światowa żydowska organizacja w New Yorku na wiadomość o zajściach w Czyżewie nadesłała poszkodowanym w Czyżewie żydom telegraficznie 10 tysięcy dolarów. Jak widać, antysemityzm opłaca się samym żydom nieźle.

Usuwanie szkód na wybrzeżu polskim

Z powodu mrozów akcja nad usunięciem szkód powstałych podczas huraganowej wichury natrafia na pewne trudności. Zdołano usunąć drzewa podmytych lasów pod Jastrzębią Górą, na półwyspie Helskim i t. d. Wytworzone wyrwy zostały zabezpieczone faszynami. W stadium budowy znajduje się tama faszynowa pod Jastarnią i Kuźnicą. Budowana jest też prowizoryczna tama, umacniająca pod Karwią. (Ligmor).

„W Lesie" – słuchowisko Szaniawskiego

W tygodniu zeszłym Teatr Wyobraźni nadała dwa niezwykle ciekawe słuchowiska: premierę „W lesie", pióra Jerzego Szaniawskiego i o niezwykle interesującej akcji słuchowisko detektywne, p. t. „Strzał na pokładzie". Ta ostatnia audycja nadana była dn. 31.I. o godz. 16.20. — Na wielkim transoceanicznym parowcu ginie zamordowany bankier. Kto jest sprawcą zbrodni. Wszystkich na upartego można podejrzewać i policja ma wiele z tym kłopotu. W końcu amator detyktyw wszystko odkryje i wyjaśni. Intryga w tej koncepcji jest przeprowadzona tak zręcznie, splot zagadek jest tak pomysłowy, że z niesłabnącym napięciem czekać muszą słuchacze na tradycyjne: „aresztuję w imieniu prawa", nie wiedząc do końca do kogo ten zwrot będzie skierowany.

Premiera słuchowiska Szaniawskiego p. t. „W lesie" wystawiona była dn. 4 lutego o godz. 19.00. Przed rokiem znakomity ten autor zadebiutował w Teatrze Wyobraźni doskonałą audycją „Zegarek", która zdobyła wielkie powodzenie nietylko u nas, lecz i w radiofoniach zagranicznych. Wszystkie zalety świetnej sztuki dramatycznej, którymi rozporządza Szaniawski złożyły się na kilka scen — „W lesie" — gdzie błaha przygoda porusza serce ludzkie, płosząc w ich zakamarkach rój uczuć, trzymanych na uwięzi codziennej na dyscypliną życia.

Na zakończenie tygodnia wystąpi Syrena Karnawałowa z audycją p. t. „Mikrofon na balu maskowym", który ukrył się w zacisznym kątku, zamaskowanym palmą czy rododendronem. Stoją tam fotele, ofiarowując wytchnienie zmęczonym parom. Na tle melodyj tanecznych i gwaru słychać ciągle „gadu-gadu" przypadkowych figur, które się tutaj raz po raz zmieniają... Zanotować czar i świeżość pierwszej godziny balu, „dojrzałość" godziny trzeciej w nocy, wreszcie szarawy nadchodzący ranek ...pokazać złośliwość, miłość, blagę i przebłyski prawdy — oto cel migawek Wesołej Syreny, która w opracowaniu Romana Zrębowicza i Antoniego Bohdziewicza nadana była w ostatnią sobotę karnawału (6. II. o godz. 21.35).

Trzy te audycje radiowe dostarczyły radiosłuchaczom różnorodnych wrażeń, odpowiadając różnym zainteresowaniom i upodobaniom publiczności radiowej.

100.000 zł. na F. O. N.

W szeregu ofiar, składanych przez różne instytucje i organizacje stanęła również i Giełda Mięsna w Warszawie, składając cenną ofiarę, świadczącą o zrozumieniu chwili potrzeb dozbrojenia naszej Armii.

Oto pracownicy Giełdy Mięsnej w Warszawie opodatkowali swoje pobory po 1% na przeciąg jednego roku, przekazując zebraną sumę na F. O. N.

Niezależnie od powyższego Zarząd Giełdy Mięsnej w Warszawie, postanowił na swoim zebraniu, aby przy dokonywaniu tranzakcyj kupna lub sprzedaży wpłacać na F. O. N. następujące kwoty: do sztuki trzody — 10 gr., od sztuki bydła — 20 gr., od sztuki cielęcia — 5 gr. od sztuki barana — 5 gr.

Zaznaczyć należy, że Giełda Mięsna w Warszawie przeprowadza akcję zbiórki na F. O. N. zaledwie od października 1936 r. i z wpływów, jaki dotychczas wpłynęły śmiało można powiedzieć, że przewidywana suma zł. 100.000 — będzie poważnie przekroczona.

Z ostatniej chwili

W chwili, gdy pismo nasze oddajemy na maszynę, w Sejmie odbywa się zakończenie debaty budżetowej. Ciekawe przemówienia referenta generalnego, posła Ducha, vicepremiera Kwiatkowskiego, jakoteż dyskusja nad planem inwestycyjnym, zasługują na specjalne omówienie.

Uczynimy to w numerze następnym. Raz w rok, właśnie w momencie uchwalenia budżetu, danem jest społeczeństwu, spojrzeć w przyszłość, rozejrzeć się w ramach, w jakich w ciągu roku jego działalność gospodarcza będzie się mieścić. My ze swej strony chcemy, by ramy te były dobrze znane naszym czytelnikom.

OD ADMINISTRACJI

Uprzejmie prosimy Sz. Prenumeratorów o wpłacanie prenumeraty. Pismo ideowe niezależne musi być prowadzone oszczędnie, by wytrzymać konkurencję.

Wobec tego oświadczamy, iż tym P.P. prenumeratorom, którzy nie wpłacą zaległej prenumeraty, będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę pisma.

WARUNKI PRENUMERATY: miesięcznie 1 zł., kwartalnie 2.75 zł. półrocznie 5.25 zł., rocznie 10 zł. Nr. konta P. K. O. 25620.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona 600 zł., za miejsce wys. 1 mm. przed tekstem 1 zł., między tekstem 80 gr., za tekstem 35 gr. Za ogłoszenia w miejscu zastrzeżonym skomplikowane 25% drożej, za druk dwubarwny 50% drożej. Ogłoszenia o pracę bezpłatnie. Redakcja rękopisów nie zwraca.

GODZINY PRZYJĘĆ REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Redaktor Naczelny przyjmuje interesantów w środy i piątki w godz. 17—19; Sekretarz redakcji: codziennie w godz. 10—12 i 16—18; Administrator: codziennie w godz. 17—19; Adres redakcji: Żurawia 23 m. 2 tel. 8.87-00.

Wydawca i Naczelny Redaktor: CZESŁAW SŁAW-GÓRALIK. Red. odpow.: ALEKSY WASIELOWSKI

Druk. Rolnicza, Warszawa, Złota 24.